



nie wszystkie piękne dziewczęta z Bystrzyckiej są Joannami

MAREK REGEL

# W CHANDRZE BYSTRZYCKIEJ

KONRAD FREJDLICh

## DEDYKACJA

Wszyscy nam odradzali. — „Nie piszcie. Możecie się tylko narazić”. Zgodni w tej opinii byli i działacze niepopularnego ZSP, i koledzy wydziałowi. Młodzież nie lubi, kiedy się o niej pisze. Władze uczelniane nie lubią, kiedy porusza się tego rodzaju sprawy. A my swoje: — „Chcemy i będziemy pisać!”  
Dzięki uprzejmości i zaufaniu dziekana Wydz. Prawa prof. dr Piątkowskiego jeden z nas mógł zamieszkać w osiedlu akademickim im. Bohaterów ZWM przy ul. Bystrzyckiej. Po przeszło miesięcznych obserwacjach, nie bez wahań, powstał ten reportaż. Pozwalamy sobie zdedykować go kolegom z UŁ.

## PROBLEM JOANNY

Przed kilkoma miesiącami Polskie Radio nadało słuchowisko młodej pisarki pt. „Joanna”. Temat intrygujący, więc też

wywiązały się dyskusje w radio i prasie. Joanna to studentka wyższej uczelni, mieszkanca Domu Studenta. Dziewczyna z prowincji styka się z wielkim miastem. Zostaje kochanką żonatemu mężczyźnie. Mężczyzna wraca do żony, dziewczyna nie ma do kogo wrócić. Dyskutanci mówili o wielkomiejskiej deprawacji. Przeciwnicy o zacieraniu piętna prowincji. Wyszła z tej dyskusji Joanna rzekoma. Ta prawdziwa chciała uciec ze schematu. Schemat stanowi psychozę. Ucieczka jest trudna, ale częściej się decyduje. Za tą częścią młodzieży trwa okrutny pościg: konwenansów, obyczajów, potępień. Ten pościg trwa, a jego kresem jest rezygnacja.

Stoimy na ul. Bystrzyckiej. Jest spokojnie, choć sobota. Chuligani ze Stoków widać jeszcze piją gdzieś na polu. Obok nas zatrzymuje się niebieska „Warszawa”. Trzydziestoletni mężczyzna wy-

siada, cicho zamyka drzwi, częstuje papierosami. Jest szaro, ledwie widać jego twarz.

— Panowie jesteście studentami?

Nie wykręcimy się, czapki nas demaskują. Mężczyzna mówi swobodnie, bez emfazy. Ma dwie taksówki w mieście. I w socjalizmie można sobie poradzić.

Z panami chyba można porozmawiać bez osłonek. Człowiek współczesny nie powinien się niczego wstydić.

Przechodzą dziewczęta, mężczyzna „robi oko”.

— Chciałbym, żebyście mnie zapoznali z jakąś studentką. Jeśli będziecie kiedyś potrzebowali samochodu, to możecie na mnie liczyć. Ja zawsze bardzo chętnie.

— Nie jesteście sułtana-

mi. To też jest powiedziane nowoczesnie. My też czytujemy od czasu do czasu egzystencjalistów. Mężczyzna wsiada do taksówki. Drzwi trzaskają.

Może taksówka więcej tu nie przyjdzie. Lepiej nie ryzykować. Student nie patrzy obojętnie, kiedy parweniusze „podrywają” ich koleżanki. Znacznie bezpieczniej można działać na Piotrkowskiej. Niestety, osiedle akademickie nie jest izolowane. Tramwaj linii „6” już po dwudziestu minutach ładuje w śródmieściu. I dziewczęta jeżdżą. Rozmaici „podrywacze” mają za punkt honoru posiadanie kochanki-studentki. Działają we wszystkich łódzkich kawiarniach. Dziewczyna przyjmuje zaproszenie na kolację. Lysiący partner okazuje się

Dalszy ciąg  
na str.  
**4 i 5**

# odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 17 maja 1959 r.

Nr  
20 (64)  
Cena  
1 zł

## Tajemnice DALAJ LAM Y

Tybet — Dacn Świata. Bagatela. Pięć tysięcy metrów nad poziomem morza, nie kończący się płaskowyż, trzykrotnie większy niż Polska. Zimno, pusto. Kraina wiecznych lodów, biała i niegościnna.

Nie bardziej fałszywego niż ten wymagowany, polarny krajobraz. Owszem, istnieją tu pustynie, owszem zimy bywają mroźne i ostre, ale lata przynoszą upały, a doliny rzek na południu porasta dżungla. Niemal zapomniany, odcięty od świata górami i pustyniami, słabo zaludniony i mocno zacofany kraj nie jest bynajmniej ubogi, ma urodzajną glebę i sporo bogactw kopalnych.

Odległa o dwieście kilometrów stolica kraju, Lhassa, otoczona amfiteatrem fioletowych wzgórz ośniewa białą architekturą, uśmiecha się ukwieconymi balkonami. Można wyraźnie rozróżnić każdy budynek: oto najstarsza w kraju, 1300 lat licząca świątynia w Dżohang, oto skarbnica starej sztuki, słynna z fresków katedra Ri-bokhang, oto groźne, posępne baszty starożytnej warowni panującej nad okolicą ze szczytu stromej i niebotycznej, samotnej skały, zwanej Górą Żelazną. Za grubymi murami kryją się tajemnice wiedzy niezwykłej i fascynującej — od wieków mieści się tam Tybetańska Akademia Medyczna.

Jednego tylko nie widać: dróg. Ale nie dziwnego — nie ma ich w tym kraju. Są jeszcze w Tybecie regiony, gdzie chłopci dotąd nie widzieli wozu na kołach. Pierwsze drogi, pierwsze samo-

Dalszy ciąg  
na str.  
**6 i 7**



Cyrk przyjechał — czytaj na str. 3

Ali mówić po polskiemu. — Ona ma 14 lat i już... — Pan porucznik aresztował pana premiera. — Najpiękniejsze dziewczęta są na wyspie Bali. — Syjamskich kotów brak, ale marszałków jest bez liku. — Kim był Thanarat Sarit? — Ryż decyduje o wszystkim. — Tu zaczęła się wojna opiumowa. Hongkong wcale nie jest miastem. — Tutejsza gejsza. — Uwaga szpieg! — Malajski „sky dance”.

**ROZUMIECIE COŚ Z TEGO? BO MY NIE BARDZO. ALE WKRÓTCE WSZYSTKO SIĘ WYJAŚNI. WYJAŚNIAC BĘDZIE NASZ SPECJALNY WYŚŁANNIK, KTÓRY ODBYŁ PODRÓŻ PRZEZ 3 KONTY-NENTY, 3 OCEANY I DZIESIĄTKI MÓRZ.**

CYKL JEGO FASCYNUJĄCYCH REPORTAŻY pt.

**„PRZEZ PORTY ŚWIATA”**

już wkrótce na naszych łamach!

Tymczasem spójrzcie, jaką minę „zdobywcy świata” ma nasz wysłannik.





Niech się inni cieszą karpisznymi uśmiechami maja. Dla mnie inna wiosna zakwita: oto nie ma instytucji, która by w tym boskim miesiącu, nazwanym miesiącem oświaty, książki i prasy, nie odezwała się kuszącym głosem: A może by pan pojechał ze Słowackim? A może inny temat: gawęda o najciekawszych książkach?

Więc się jeździ. Delegaci od spraw kultury i oświaty rozjeżdżają się w teren, wędrują pieszo, konno, tramwajami, kolejami, samochodami. Ruch, jakiego jeszcze nie było. Specjalne ekipy krasomówców jeżdżą krzewić słowo pańskie, a jednocześnie reprezentować kulturę łódzką w Łodzi i województwie, w Opolu, Zielonej Górze, Słupsku. Niektórych zaprasza Kieleccyzna.

Statystycznie rzecz wygląda imponująco. Na przykład jedna tylko instytucja, parająca się m. in. i tymi sprawami, Woj. TPP-R, ma na swoim koncie w ostatnich sześciu miesiącach: 78 publicznych spotkań z delegacjami zagranicznymi, 512 spotkań z naukowcami i pisarzami, liczne koncerty, wystawy itp. imprezy. A przecież są w Łodzi inne instytucje, przeznaczone wyłącznie dla spraw kultury: Biblioteka Wojewódzka, Wydział Kultury Wojewódzki i Łódzki, Związek Literatów, Związek Nauczycielstwa itd. Nie mogą sobie odmówić podania, że w ub. roku sam nasz łódzki Związek Literatów dał ponad 500 spotkań, w których wzięło udział ponad 50 tys. ludzi. Cyfry rosną w tysiące. Feletonistę kusi, aby te cyfry pisać słowami, jak złotówki na blankietach czekowych. Albowiem cyfry ukazują rozmach pracy.

Za cyframi kryją się kwiaty, za kwiatami biega listy wzruszonych czytelników i słuchaczy. „Dziękujemy za niezwykle przeżyte”, „Przy-

jeżdżając częściej”. „Ten wieczór wrył się nam głęboko w pamięć”.

Bardzo miłe są te kwiaty. Bardzo wzruszające są listy. Mam przed sobą całe sterty tych listów. Rozczytuje się w sprawozdaniach instytucji organizujących spotkania z pisarzami. Tonę w zapachu bzu, konwali, różnych pochlebstw i od czasu do czasu popadam w smutek.

Na zewnątrz wszystko jest w najlepszym porządku. Sprawozdania techną budującym optymizmem, listy i kwiaty świadczą o zadowoleniu większości odbiorców kultury. Studia nad formami organizacyjnymi instytucji parających się pracą kulturalno-oświatową byłyby niezwykle interesujące. Organizacja sprawada się tutaj nie tylko do koordynacji różnorodnych działań instytucji, do wpływania instancji wojewódzkiej na powiatowe i miejskie (w języku sprawozdawców nazywa się to aktywizacją zarządów) ale obejmuje swym zasięgiem pracę poszczególnych działaczy terenowych. Mówi się więc często, że zarządy powiatowe „przeżyły okres bezczynności”, że na przykład w Brzezinach czy Zduńskiej Woli „jest dobry aktyw, szczególnie wśród nauczycielstwa”. Metoda pracy nie polega na mechanicznym kierowaniu podległymi placówkami. Przeciwnie, sprawozdania mówią wyraźnie o poszukiwaniu takich sposobów oddziaływania, które byłyby najbardziej skuteczne. Do tego celu służy cała gama rozlicznych środków, od naraż roboczych począwszy do inspirowania poszczególnych działaczy. Inspiracja i odpowiadanie na zapotrzebowanie oddolne to jest ów nowoczesny styl pracy instytucji. Wydaje się, że dopiero w tym kontekście cyfry powinny nabrać rumieńców życia. Praca społeczna polegałaby w takim ra-

nie na wprowadzaniu słuchacza w bliski kontakt z procesami kulturalnymi zachodzącymi w całym kraju. Ciękawą innowacją na przykład w pracy niektórych instytucji są tak zwane punkty stałego oddziaływania. Są to duże zakłady pracy, gromady, spółdzielnie produkcyjne, biblioteki, domy kultury, szkoły, zakłady specjalne, jednostki Wojska Polskiego. Do każdego z tych punktów docierają ekipy przynajmniej cztery razy w roku. Cztery razy w roku słuchacz ma możliwość oglądania i rozmawiania z pisarzem, działaczem oświatowym, naukowcem.

Skąd więc ten smutek nad bukietem kwiatów? Spełnione są przecież wszystkie warunki „dobrej roboty” w terenie. Jest i decentralizacja, i inicjatywa oddolna, zapotrzebowanie społeczne, niezły prelegent, odbiorcy i wszystko, czego dusza zapagnie. Skąd tedy zdumienie nad wykrzyknikiem: „Przyjeżdżajcie!”

W kraju, który przez długie wieki otrzymywał od królów i cesarzy „piękne wolności i prawa” łatwo przyjęła się koncepcja pracy społecznej wyrosłej z filantropii. Piękne hasło profesor Radlińskiej, że książki idące w lud „mają otwierać oczy na świat i budzić śpiące potęgi” osadzone było w określonych formach, mecenatu sprawującego dozór nad upośledzoną i niedorozwiniętą kolonią. Były to szacowne, wzruszające tradycje, które mówiły o wychowaniu człowieka przede wszystkim drogą „uwzniośleń ducha”. Są to tradycje, zakładające bezpośrednie obcowanie inteligenta z tak zwanym ludem.

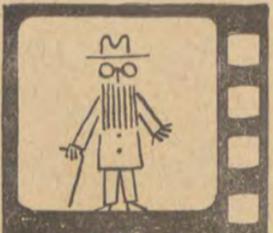
I właśnie występy niektórych prelegentów mają niekiedy coś z owej filantropijnej działalności. Dzieciatki małe w szkole słuchają, dzieciatki starsze słuchają, potem pięknie wręczają kwiaty. Całować czy nie całować uroczą przedstawicielką młodego pokolenia, która z tak pięknym dygiem niesie bukiet i ze łzami w oczach dziękuję? Co za szczęście dla nas, żeście tu przybyli!

Przyjaciel kwiaty, kiedy się samemu występuje w charakterze kwiatka nazywanego narcyzem?

Warto przeanalizować pełne rozmach Dni Oświaty, Książki i Prasy od strony treści jaką w zamian za szczere kwiaty dają narcyzy. Tu bowiem tkwi przyczyna tego smutku czy wątpliwości. Za imponującymi cyframi kryją się również prelegenci i nadziarze, prelegenci, którzy poza swoją osobą nie widzą pozostałych 29 milionów Polaków. A zamiast rzetelnego poznania określonej sytuacji kulturalnej, zamiast pomocy tak bardzo potrzebnej powiatowej Polsce, proponują zbiorowe wachanie narcyza. Wbrew pozorom — smutna to czynność i chyba nie zawsze potrzebna w naszej polityce kulturalnej.

Nasza szkoła

Sprawy żołądka i zelówek



Droży Uczniowie! Jak nam się żyje? Lepiej niż cztery lata temu czy gorzej? (Cztery lata temu był rok 1955, rok o tyle szczególny, że charakteryzował go ogromny, przelomowy wzrost poczucia tego, że powodzi nam się nienajlepiej; poczucie owo zostało przez nas wypowiedziane i wcieliło się w szereg spełnionych żądań).

Większość ludzi odpowie, że trochę lepiej teraz się żyje. Spora ilość zacznie medytować, przymierzać ceny do swoich plac i place do cen i odpowie, że nie wie. Są i tacy co fukną, że żyje im się gorzej.

Nie jest belfrowym zadaniem odpowiedzieć na postawione Wam pytanie. Ogromnie to niewdzięczna rola agitować kogoś do jego własnego rzekomego dobrobytu. Rola zresztą i niepotrzebna. Każdy wie najlepiej sam. A jak nawet sam najlepiej nie wie, to jest to ta dziedziną spraw, spraw żołądka i zelówek, gdzie przekonać kogoś jest najtrudniej. Rzecz więc tylko kilka danych cyfrowych i refleksji, które być może pomogą komuś w kalkulacjach, dumaniach i snuach żalów.

W 1955 r. średnia płaca netto wynosiła 1.008 zł. W 1958 r. — 1.348 zł.

W 1955 r. 15,5 proc. ogółu zatrudnionych w Polsce zarabiali poniżej 600 zł. W 1958 r. tylko 4,2 proc., a od 600 do 700 zł — 2,9 proc.

W 1955 r. od 1.500 zł do 2.000 zł zarabiali 10,8 proc. wszystkich zatrudnionych, w 1958 r. — 22 proc. Pensyjki od 2.000 zł do 2.500 zł inkasowało w 1955 r. 3,8 proc. zatrudnionych, w 1958 — 11,3 proc. (Sumy te nie obejmują wszystkich pozapłacowych świadczeń pieniężnych i rzeczowych, zasiłków, premii niestających, wypłat z funduszu zakładowego itp.).

Ten dowodzący dynamiki rozwoju gospodarczego

wzrost plac, sięgający na przestrzeni czterolecia 30, 40 i 50 proc., nie był wszakże przez społeczeństwo w tym stopniu odczuwany. To znaczy subiektywne odczucie każdego z nas polepszania się sytuacji materialnej pozostawało i pozostaje daleko w tyle za wymową bezwzględnych cyfr.

Złożyło się na to kilka przyczyn obiektywnych. Po pierwsze: RUCH CEN. Po drugie: REWOLUCJA W DZIEDZINIE ZAOPATRZENIA RYNKU W TOWARY. Rewolucja ilościowa, ale przede wszystkim jakościowa, asortymentowa. Po trzecie: NISKA BAZA WYJŚCOWA RUCHU PŁAC, to znaczy ich bezwzględna w stosunku do potrzeb życiowych niskość. Jeśli ktoś zarabiał w 1955 r. 800 zł, to obecnie wykonując tę samą pracę zarabia przeciętnie 1.100 zł. Różnica spora sama przez się. Różnica znikoma, jeśli chodzi o sytuację życiową poborcy pensji.

Z tymi cenami sprawa jest ogromnie skomplikowana. Niewątpliwie wzrosły one w wielu dziedzinach. Niewątpliwie w innych pozostały bez zmian, lub nawet się obniżyły. Bilansu tego nie można przedstawić w tak prostych cyferkach, jak ruchu plac. Gdyby jednak taki przybliżony obrachunek przeprowadzić, okazałoby się, że jeśli nawet w sumie ceny nieco wzrosły, to w każdym razie tylko w minimalnym stopniu niwelują one wzrost plac.

Oczywiście, nie wierzyłem mi. Ja nie będę przekonywał Was, że nie macie racji. Trzeba by tu wtedy napisać cały rocznik statystyczny, a Wy i tak wiedzielibyście swoje. Natomiast pragnę słów kilka poświęcić temu, dlaczego mi nie wierzycie.

Zalanie rynku towarami ładniejszymi niż dawniej, lepszymi, bardziej zróżnicowanymi gatunkowo (a to właśnie się dokonało od masła, wedlin i serów poczynając, poprzez odzież, meble, na telewizorach, lodówkach i samochodach kończąc), w sposób rewolucyjny zmieniło skalę potrzeb obywatela. Wzrosło jego poczucie, że i to, i to, i owo niezbędne jest mu do życia. Jako i świadomość, że go na to wszystko nie stać. Przedtem też go było nie stać. Ale tego nie odczuwał. Nie było, nie kusiło, nie rzucano się w oczy.

Od tego, że teraz można kupić samochód, a kiedyś nie było można, nie żyje się gorzej temu, kto na samochód jak nie miał, tak i nie ma. Ale jego osobiste odczucie nienajlepszej sytuacji materialnej wzrosło, mimo że sama sytuacja poprawiła się. („Jeżdżą te cholery, sa-



„Kto upoważnił go do słuchania plotek“

Kiedy nadszedł pierwszy list, nie było wielkiej biedy. Wystarczyło go wydrukować (lub nie), opatrzyć odpowiedzią. Ale listów zaczęło przybywać. Sprawa się skomplikowała. Chodzi o reportaż z miasteczka Warty, zatytułowany „Dwa kościółki nie sprzyjają cudom” („Odgłosy” nr 17(61) z 26.IV.59). Właściciel w większości z tych listów, ze względu na ich ton i brak rzeczowości, redakcja nie ma obowiązku odpo-

wiadać. Ale ponieważ wydarzenie to nabrało jakiegoś dodatkowego wymiaru — zróbmy wyjątek.

Oto fragmenty listu p. S., matki dziewczyny rzekomo cudownie uzdrowionej i rzekomo zniesławionej przeze mnie:

„...żadam kategorycznie napisania sprostowania. Kto upoważnił go do słuchania plotek... Ze za przysługę przewiezienia ja samochodem zapłaciła(?) łózką, chamie, o kretynie, idioto... Postaram się o to, ażeby poddać badaniu Pana Zakowieckiego, bo na pewno nie jest przy zdrowych zmysłach... A jak go kiedykolwiek dostane żywego w swoje ręce, to go uduszę albo wydrapię mu ślepie, żeby

się nauczył szanować ludzi i dobrze o nich wyrażać... Oto fragmenty listu podpisanego „mieszkańcy m. Warty”.

„...Jesteśmy bardzo zdziwieni, że zatrudniając w swoim piśmie takich kretyńców, jak Ob. Tadeusz Zakowiecki, ten wielkomiński dandys... Niech ten pan idzie do łódzkiej kliniki i pobocznych ginekologów w Łodzi, i dowiedź się ile dziennie w jego przenośliwym grodzie roni panien...“

Dalej fragmenty listu Teresy Kałużnej:

„Jestem czwódką przeciętną, ale rodziczką Warty i pracownikiem szpitala... Absurdalne zdania wydrukowane wzburzyły ludność miasteczka i zakładu... Większość pra-

cowników szpitala — to personel biały, który według opinii inż. W. (postać w reportażu — T. Z.) jest garstką ciemnej masy bez wykształcenia i inteligencji, ale jakos ta ciemna masa potrafi każdemu przybyszowi rozwinąć skrzydła, ubrać w piórka i pozwolić opuścić „chuligańskie miasteczko” w futrach i z samochodem... Jeżeli chodzi o rozrywki, na których brak narzeka inż. W. Jest ich dość, tylko niestety inż. W. nie uczęszcza z przyczyn oszczędnościowych, bo szkoda wydać parę groszy na dobrą sztukę. Jaką wystawiają (często) teatry: kaliski, łódzki itp.”

Pisząc reportaż z Warty, starałem się być jak najbardziej obiektywny. Nie eksponowałem tylko ciemnych stron życia mieszkańców miasteczka. Dużo miejsca zajęły w nim problemy, które są pięknym świadectwem cnót,

Starałem się być obiektywny i reportaż wypadł w sumie nawet pozytywnie. Aprobata poczynnych miejscowych władz, poparcie budowy szkoły Tyścialecia. Ponieważ co krótko informowano mnie o tym, że mieszkańcy Warty są źli — próbowałem szukać dla nich usprawiedliwienia (i chyba znalazłem): tańczących złych reakcji spowodowanych kontaktem z pacjentami szpitala psychiatrycznego, zły wpływ konkurencji między kościółkami...

Tymczasem mój reportaż kilku ludzi potraktowało jak osobistą napaść. Nie znam p. S. Zapewne jest dobrą, uczciwą kobietą. Ale wydarzenie z jej ówczą stało się własnością publiczną. Tu nie chodzi nikomu, z wyjątkiem mieszkańców Warty, o nazwisko. Ważne jest samo wydarzenie na tle małego

miasteczka. Za mało tu zresztą miejsca na dalsze wyjaśnianie funkcji reportażu.

Słownictwo, epitetety powyższych listów świadczą jednak bardzo źle o ich autorach, i dlatego zaniepokoił mnie list podpisany „mieszkańcy m. Warty”. Czyżby wszyscy mieszkańcy miasteczka chcieli dać dowód niskiej kultury — ograniczając się do kilku wyzwań i do owego tonu; to twoje miasto jest brzydkie, a nie mój...!

Wygląda na to, że ukrył się za tym ktoś nie mający odwagi podpisać się własnym nazwiskiem. Następne listy do redakcji zdecydowały czy dotychczasową korespondencję traktować jako reprezentatywne wypowiedzi ludności Warty.

# CYRK PRZYJECHAŁ

**N**a dobrą sprawę reportaż ten powinien być pisany jedną ręką, podczas gdy druga zajmowała by się np. dźwiganiami trójki akrobatów linoskoczków. Rzecz ma być przecież o cyrku! I to nie o francuskim cyrku Medrano, nie o czeskim cyrku HUMBERTO, czy niemieckim cyrku BUSCHA, ale o cyrku WARSZAWA. Ten sposób pisania zbliżyć mógłby nas do niezapomnianej atmosfery cyrku, do artystów areny. Można by coprawda czytać niżej słowa stojąc na głowie, ale musimy zrezygnować ze wszystkich tych miłych uciech, gdyż ciała nasze w przeciwieństwie do cyrkowych mają swoją wagę, brak nam siły, a rodzina nie ma cierpliwości. Zatem wybieramy to, na co nas stać — fotel, tapczan, leżak.

W Łodzi gości właśnie cyrk Warszawa. Jest to jeden z 6 polskich cyrków czteromasztowych, powstały w roku 1954.

Dyrektor WARSZAWY pan Edmund Nell-Jędrzejewski powiada, że polskie zespoły cyrkowe i poszczególni artyści są bardzo chętnie widziani w całej Europie. Wystarczy wymienić tu kontakty zawarte na tegoroczny sezon, 15 maja cyrk Komików — cyrk nr 1 — jedzie do ZSRR, cyrk Gryf do CSR na 7 miesięcy, a poszczególne zespoły i soliści wyjeżdżają do Finlandii, Austrii, Szwecji, Jugosławii i ZSRR. Polska sztuka cyrkowa nie ustępuje swym poziomem najlepszym zespołom zagranicznym. Co ciekawe, popularnością na rynku międzynarodowym cieszy się również... nasze wyposażenie cyrków. W ZSRR nie znano dotąd cyrków objazdowych. W większych miastach cyrki są stałe, a tylko zespoły się wymieniają. Obecnie zakupiono u nas dwa kompletne

wyposażenia cyrków objazdowych tzw. szapity, wozy mieszkalne dla ludzi i zwierząt itp. Produkcję tych rzeczy prowadzi w Polsce — Wytwórnia Sprzętu Rozrywkowego przy Zjednoczonych Przedsiębiorstwach Rozrywkowych w Julinku pod Warszawą.

## Co na jutro zadane?

Skoro padła już nazwa Julinek, wyjaśnijmy rzecz do końca. Julinek jest dużym gospodarstwem. Ale niezwykle to gospodarstwo skoro na prawach zwierząt hodowlanych są w nim konie, lwy, tygrysy i niedźwiedzie, a ludzie zamiast w polu pracują tu na trapezach, linach, w klatkach z krwiożerczymi bestiami. Domyślcie się już o co tu chodzi. Julinek jest bazą wszystkich polskich cyrków i zarazem szkołą kadr artystów areny. Nazywa się to oficjalnie — Studium Sztuki Cyrkowej. Do Studium przyjmowani są adepci w wieku lat 14, po 7 klasach szkoły podstawowej. Z chwilą, kiedy w Polsce wydano zakaz występowania na arenie cyrkowej dzieciom poniżej lat 14 nastąpił zarazem zmierzch dziedziczenia zawodu cyrkowego po mieczu czy kądzieli. Oczywiście rodzice mogą sami przygotowywać dziecko od 4—5 lat życia do objęcia tej trudnej cyrkowej schedy, ale co będzie gdy potomek osiągnąwszy 14 lat odmówi pójścia do Studium? Zdaje się, że sprawę załatwiono rozsądnie, nie pozbawiając dziecka prawa wyboru zawodu. Jednocześnie otworzyła się wolna droga dla tych, którzy nie mając dotąd z cyrkiem nic wspólnego chcą mu się poświęcić. Tak więc mamy Studium Sztuki Cyrkowej, a w nim kilka klas

specjalizujących w tresurze zwierząt, żonglerce, akrobacji, itd. Do dyspozycji adeptów stoją 2 areny, sale estradami, sale gimnastyczne. W klasie tresury zwierząt nauka trwa 3 lata. Dopiero w wieku 18—19 lat młodziutki trener może stanąć sam na sam na arenie ze zwierzętami, z tym, że pierwsze zetknięcia następują już po 6 miesiącach pobytu w szkole. W tej chwili szkoli się w Julinie 6 treserów, w tym jedna kobieta. Aby zostać żonglerem trzeba się uczyć przez 2 lata, a ostatni rok przewidziany jest już na występy w ramach praktyki.

Ogólnie w Julinie zdobywa wiedzę 40 osób. W najbliższym czasie przewiduje się wprowadzenie obok przedmiotów zawodowych także programu obowiązkowego w szkole średniej. Przyszły artysta cyrkowy będzie miał również wykształcenie średnie.

## Przyjechał cyrk!

Nieraz przechodząc obok cyrku popatrzyłeś na wozy, w których mieszkają artyści i westchnąłeś: ech, pieknie życie! W istocie jest życie to nielekkie, ale do czegoż się człowiek nie przyzwyczail! Sezon cyrkowy trwa u nas przez 7 miesięcy. Wtedy, oczywiście, cyrk podróżują po kraju. Wędrówki te odbywają się w wagonach kolejowych. Tak i np. cyrk Warszawa zajmuje na raz 46 wagonów 13-metrowej długości i do tego jeszcze 3 wagony kryte dla dzikich zwierząt. Pozostałe 5 miesięcy, to okres zimy. Cyrki ściągają wówczas do swej bazy w Julinie. Zwierzęta otrzymują zakwaterowanie w stajniach i zwierzyńcach. Ludzie też mają tutaj swo-



je mieszkania. Na te 5 miesięcy stają się więc artyści wędrowni zwyczajnymi ludźmi. Teraz odbierają sobie miesiąc urlopu i 36 dni wolnych, boć przecież w sezonie grają bez wytchnienia. Zostaje tedy niecałe 3 miesiące na przygotowanie nowych programów. W tym czasie 600 artystów pracuje bez przerwy aż do wiosennych premier.

## Sprawy bytowe

Jakie są zarobki pracowników naszych cyrków? Trzeba powiedzieć, że w stosunku do wymaganych kwalifikacji nienadzwyczajne. Adept sztuki cyrkowej zarabia od 750 zł do 1.400, artysta od 1.400 do 3.600, z tym, że tych ostatnich jest w Polsce najwyżej kilku. Dodać trzeba, że w czasie wojaży wszyscy otrzymują zryczałtowaną dietę w wysokości 12 zł za dobę. A jak sobie radzą z gotowaniem? Mieszkają przeważnie z rodzinami, więc gotują na małych kuchenkach zainstalowanych w wozach. Kawalerowie i panny stołują się w restauracjach. Jest to kosztowne, ale co robić. Stółki nie optaca się prowadzić. A co z małymi dzie-

mi? Jest ich sporo! W cyrku Warszawa — 8 dzieci polskich i 4 czeskie. Starszych malców uczą rodzice do pewnego czasu, a potem internat lub krewni, żeby mogły chodzić już normalnie do szkoły.

## Czy Pan ma rewolwer?

Oto ostatnie pytania skierowane do dyrektora Nelli-Jędrzejewskiego:

Tekst i zdjęcia  
**WIESŁAW  
MACHEJKO**

— Jak najtragiczniejszy moment pan pamięta?

— 1 kwietnia ub. roku, kiedy na próbie generalnej w Pruszkowie rzuciła się jedna bestia na tresera tygrysów Rudolfa Borna. Kosztowało to Borna 6 tygodni leczenia w szpitalu.

— Czy to prawda, że podczas tresury zwierząt drażniących macie w pogotowiu broń palną?

— Nie. Njeprawda. Nie wolno nam tego robić, przecież w cyrku są ludzie. Małymi natomiast zawsze przygotowaną sikawkę z wodą, a treser nosi ze sobą stalowe widełki. Na wszelki wypadek.

— Mówi się, że treser musi być hipnotyzerem?

— Nonsens! Do umiejętnego kierowania zwierzętami najlepsza droga prowadzi przez dobroć i... żołądek. Mam na myśli przysmak dawane w nagrodę.

— A jaki najzabawniejszy moment pan pamięta?

— Podczas występów w Budapeszcie, już po spektaklu, uciekli nam z cyrku niedźwiedź. Było to stworzenie dobre, miłe, potulne, ale jego widok i tak zdołał wywołać panikę w mieście. Gonilo go 6 samochodów policji, wojsko, straż pożarna i my.

— Pytanie ostatnie. Czy artyści cyrkowi pobierają się między sobą?

— W większości raczej tak... No, tego wymaga specyfika zawodu i sentyment... Np. moją żoną jest wnuczka właściciela słynnego cyrku CINISSELLI (tresował 72 konie na raz!). Ona jak dziad — obecnie jest treserką koni, a ja, no cóż przepracowałem też swoje 27 lat w cyrkowym fachu.

Ale oto orkiestra gra tuż, zaczyna się program. Cyrk przyjechał!

## Za tydzień na naszych łamach:

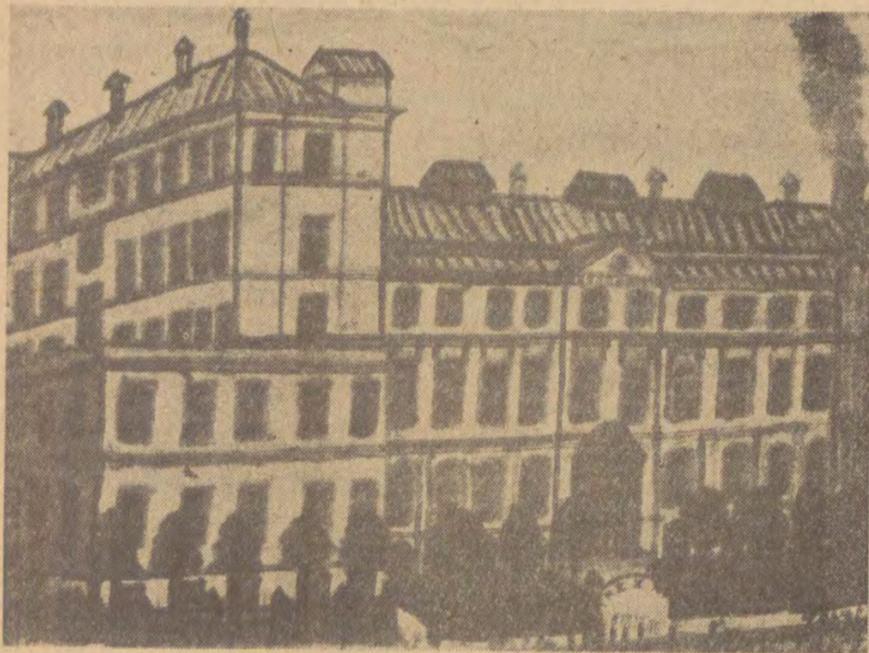
**MAREK HAMP** — korespondent „Odgłosów” w USA — W PRZEDNIU SEZONU OGORKOWEGO

**KARÓL BADZIAK** — REKONESANS W KRAJĘ ROBINSONÓW

**odgłosy** str. 3



# Plotki krynickie



Obraz Nikifora, przedstawiający widok szpitala przeciwgruźliczego w Krakowie przy ul. Skawińskiej

Szanowny Obywatelu Redaktorze!

Dotychczas jeszcze dwa tysiące łodźian(ek) nie wykorystowało czasów wypoczynkowych. Przepraszam, w tej chwili jeden tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, albowiem dwutysięczny siedzi w jednym z domów wypoczynkowych w Krynicy i zapisuje swoje wrażenia. Pokój nosi cyfrę 107 i ma bogatą tradycję; nie tylko zresztą pokój. O każdym domu wypoczynkowym można opowiadać tysiące historii i historyjek. Niektóre należą do żelaznego repertuaru zawodowych anegdotarzy. Na przykład typowa historia z pokoju 105 o miłośniku pewnego doktora do uroczej blondynki i niespodziewanym przyjeździe żony doktora. Ale to są znane i „życiowe” sprawy. Nie od dziś wczasy wpływają na polskie stosunki miłosne scalając lub rozkładając.



Pewnego wieczoru znalazłem się na „lingu-tangu” zorganizowanym w Klubie Przyjaźni. Tłok panował tu nie do opisania, a znalezienie choćby jednego miejsca przy stoliku było wyczynem na miarę wysiłków naszej drużyny w Wyścigu Pokoju. Miałem jednak większe szczęście, dosiadłem się do stolika dwóch młodych ludzi, którzy przyjechali tu na kontrolę miejscowych przedsiębiorstw z ramienia NIK.

Nazajutrz, gdy wypoczywałem po obiedzie, zjawili się u mnie jakiś doskonale poinformowany człowiek. Jak się później zorientowałem, był to pracownik krynickich zakładów gastronomicznych. Wziął mnie za inspektora i wtajemniczył w stosunki panujące w restauracji „Zdrojowa”. Z jego re-

lacji dowiedziałem się, że kelnerzy stosują tu, wypróbowane gdzie indziej, metody sprzedawania wódek i zakąsek z własnego podręcznego bufetu. Doliczenie bąbojskich sum za wdychanie powietrza kawiarnianego jest na porządku dziennym. Toteż jedna z najbardziej zatłoczonych kawiarni jest nierentowna, natomiast zarobki kelnerów równają się zarobkom wybitnych specjalistów. Dodajmy jeszcze, że od czasu do czasu lokal demolowany jest przez krewkich klientów. Niedawno pewna dama, prawdziwy Herkules w spódnicy, znokautowała pięciu mężczyzn. Demolowanie urzędzeń i przeciwników trwało godzinę. Kelnerzy zamiast zawiadomić milicję z podziwem przyglądali się „drace” z ukrycia.

Badając dokumenty w Komisariacie ustalono, że w roli Herkulesa wystąpiła akrobatka z cyrku. Wniosek narzuca się automatycznie: narzekania na łódzkie restauracje są przesadne.

Swego rodzaju rozslawienie Krynicy uprawia popularny malarz prymitywista Nikifor. Jak wiadomo, wystawa prac Nikifora obiegła większe miasta Polski, a w tych dniach otwarta została w Paryżu, uzyskując pochlebny ocenę krytyki. Kto by przypuszczał, że właśnie ta wystawa paryska sprawi poważny kłopot przewodniczącemu Rady Narodowej w Krynicy panu Póchlópkowi. Otóż pan Póchlópek otrzymał — mówiąc popularną gwarą — tak zwany „cynk” od władz centralnych, że przyjadą do Krynicy dziennikarze francuscy i w związku z tym należy się zająć artystą.

Zająć się krynickim malarzem nie taka łatwa sprawa gdyż Nikifor jest głuchoniemy, a przy tym ma skłonność do żebrania — od której, niestety, nikomu nie udało się go odzwyczaić. Pozostała ona z czasów, gdy wspomniany przez wszystkich malarz zarabiał na życie żebraniem.

W związku z wizytą zagranicznych gości (czego się u nas nie robi dla zagranicy) przyjechali do Krynicy przedstawiciele Związku Głuchoniemych i przywieźli Nikiforowi nowe ubranie i

plaszcz, lecz niepoprawny staruszek już następnego dnia siedział na schodkach przy kolejce linowej w swoich lachmanach i wyciągał ręce do przechodniów. Oddano go więc do doskonale urządzonego Domu Starców, stwarzając jednocześnie odpowiednie warunki pracy. Nikifor po dwóch dniach uciekł. Najlepiej czuje się na krynickim „deptaku”. Na marginesie pragnę poinformować, że obrazki Nikifora

sa bardzo poszukiwane, a cena ich kształtuje się od 150 złotych wzwyż (dawniej takie dzieła sztuki kosztowało 20 złotych).

Nie mniej popularna postać w Krynicy, o której warto jeszcze wspomnieć, to pan Mieczysław Malowaniec — autor kilku tekstów piosenek, nadawanych dość często w radio, laureat dwóch konkursów itp. Malowanica poznałem osiem lat temu, gdy pracowałem w Nowym Domu Zdrojowym w charakterze portiera. Był to niezwykły portier.

Pan Malowaniec znając pięć języków specjalizował się w przemówieniach powitalnych gości zagranicznych. Osiem lat temu namówiłem go, by zmienił pracę. Został więc bibliotekarzem Sanatorium „Lwigród”.

Zaraz po przyjeździe postanowiłem złożyć mu wizytę. W mieszkaniu oprócz łóżka nie ma ani jednego sprzętu. Dójście do tego jednego mebla jest utrudnione, ponieważ na podłodze leży parę tysięcy książek i gazet. Pan Mieczysław aktualnie studiuje język hiszpański.

Ma lat pięćdziesiąt i opowiada o sobie ze zgrzytliwym humorem, że dlatego jeszcze nie umarł, ponieważ musi napisać dzieło, które zadziwi współczesnych. Tymczasem pisze najchętniej fraszki. Malowaniec, który siedzi latem w kaloszach, gdyż nie ma butów, jest także swego rodzaju Nikiforem. Tylko że w jego sprawie nikt nie dał jeszcze tak zwanego „cynku”, aby się nim zająć. Proponuję sprowadzić do niego zagranicznych gości. Z pewnością poszukuje. Prawda, Obywatelu Redaktorze?

## TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

### Poranek w Chęcinach

Już noc się kurczy, dzień wydłuża — i wspólnie brodzą po kałużach. Lekka mgła wapnem wygaszonym obliła klasztor, bruk i wrony... Wrona z piór strząsnie mgłę, dzwon brzęknie w gładkie, pokryte rdzą powietrze; od pań Klarysek kur zapieje... Wtedy na biały szczyt zamkowy — całe w szkarłacie niby dzieje — powolnym pocztem wkroczą krowy.

### Wyspy Błogosławione

Na obrzeżach świat barwny jak księgi opatów... W karnację śnieżnych żagli wpiąłem różę wiatrów. Igła w kompasie marzeń weszła w trans, dygocze... Na próżno też szukamy, by je godnie otrześć. Tu kraniec kuli świata, Zagaś lek! Trawersuj! Skroś Słupy Heraklesa wplyń na Morze Kresu!... Z Ziemi Gdzie Lwy zwierz wstrząsa cynobrową grzywą; Z kwietnych skał ludojady chichoczą parszywe... Lecz zjawia się ptak-lira i krążąc nad rudłem Gra pieśni na ognie — misterne i trudne. Morze Kresu jak w kotły huczy w nieb przepone... Oto archipelagi dawne zagubione. Kiedy nikt eurosowych koni nie popasał — Prócz bazarzy i kupców w starych mądrych czasach. Święty Brandan zapalił świeczkę na urwisku. Wyspy Błogosławione już blisko, już blisko!

Skoro żagiel oblały prażne miody świtu, Z gwiazd sfrunęły rżące ku nam stada hipogryfów, Z wodorostów spiżowe błysły miast obręcze, Atlantydy z wód wstały i świeca jak tęcze... Z blanków nam salutują strojąc czola marszem Wojska Alexandrowe jak fryz splótszyszy tarcze...

Gdzieżście żuźle fabryk i rozkisle niwy! Kapitanie milczącej, użyż perspektywy! Mnie smutno! Chcę za siebie spojrzeć, objąć wzrokiem Miasta sady i żądry na dlonie szerokie! — Ów w siatec Mercatora dawnej ziemi kontur: Trzciny Wisły, Piotrkowska, brzegi Hellespontu... Przebóg! Oto wyraźnie dostrzegam w oddali, Ze kontynent jest żywy, tylko śpi na fali — A już grzbiet wielorybi pelen miast i ziela Budząc się z długiej drzemki przechyla w ocean.

Kapitanie, wracajmy!

# W CHANDRZE



„Toteż niejedna z dziewcząt...”

(Dalszy ciąg ze str. 1)

właścicielem kawalerki. Rzekome Joanny nie nocują potem w „akademiku”, lecz w mieście, znikają na tydzień, dwa z uczelni, biorą urlopy dzlekańskie. Partner, udziałowiec w sklepiku z galanterią, po szarmancku płaci potem rachunek lekarzowi. W tych warunkach trudno ukończyć studia. Powrót na prowincję jest nie zawsze już możliwy. Często pozostaje tylko ulica.

Szara, tuzinkowa studentka różni się zasadniczo od rzekomej Joanny. Na Piotrkowską jeździ rzadko, raczej do kina niż do lokalu. Nie ma kompleksów. Chce po prostu wyjść za mąż, pracować. Najpierw jednak chce ukończyć studia. Z takiego materiału zbudowane jest zdrowe społeczeństwo. Jedyne ekstrawagancją tej dziewczyny bywa pragnienie „chodzenia” ze studentem szkoły artystycznej, najlepiej „filmówki”. Może się nawet z nim przespać, dlatego, że go kocha. Zaryzykuje wraz z nim przedarcie się przez kordon portierów i zakazów. Taka studentka ma czysto ludzkie ideały, ale nie jest Joanną. „Chodzenie” ze studentką nie sprawia żadnej trudności studentowi. Wystarczy byle wieczorek taneczny w „akademiku”.

— Czy nie ma pani ochoty przysiąść się do mojego stolika? Wspólny wieczór przy kieliszku „winiaza” (wino trzeba przynieść, na wieczorkach prawie nie jest sprzedawane) jest z reguły początkiem tego „chodzenia”. Ostatnio znajomość najłatwiej zawrzeć przy „Pożegnaniach”.

— Lubi pani „Pożegnania”?

— Tak.

— A Dygata pani lubi?

Przeważnie nie zna. Jest wiele dziewcząt na studiach, które nie wysadziły nosa poza „Express Ilustrowany” (przeważnie z „polibudy” i WSE). Mają tylko dwie drogi: być tuzinkową studentką albo rzekomą Joanną. Nieczęsto się spotyka Joannę prawdziwą, dobrą Joannę z audycji.

Słusznie zauważył któryś z naszych kolegów, że rozwiązanie problemu Joanny jest

kluczem do rozwiązania wszystkich problemów młodzieżowych. Chodzi o rozczarowania w słusznych i szlachetnych zamierzeniach. Czy droga prawdziwej Joanny zawsze musi się skończyć rezygnacją? Czy granicę ucieczki ze schematu zawsze stanowi kłeska?

Chodzimy ulicą Bystrzyką. Niedaleko świeci czerwona żarówka na maszynie łódzkiej radiostacji. Może właśnie w tej chwili nadaje się audycję o Joannie? Ulicą spacerują dziewczęta. Są zadowolone, śmieją się. Która z nich jest Joanną? Joanno, nie bądź latwo wierna! Sirzeż się Joanno!

### WIZJA NOCY

Przed rokiem działała na terenie miasteczka banda Księża Nocy. Przed rokiem doszło do generalnej rozprawy między studentami i bandą. O wydarzeniach tych opowiadał nam jeden z kolegów.

— Księżę Nocy, ex-student miał kochankę w jednym z domów studenckich, gdzie mieściła się kawiarnia. Kochanka nazywała się Królową Dziesiątki. Trzęsła całą bandą i domem studenckim. Księżę Nocy często przyjeżdżał na teren miasteczka. Rzadko te wizyty kończyły się spokojnie.

— Czy możesz nam scharakteryzować metody prowokacji stosowane przez bandę?

Kolega namyśla się chwilę.

— Bardzo często studentki z miasteczka były atakowane przez bandę w samym środku miesiąca.

— A Księżę Nocy?

— Jeszcze będąc studentem terroryzował w pewnym sensie pracowników naukowych. Kiedyś w parku Poniatowskiego rozebrał do majteczek lektora, który mu się „naraził”.

Informacje o wielkiej bitwie otrzymaliśmy od kilku osób. Studenci ubrani w białe koszule wystąpili solidarnie w sile ponad 300 ludzi. Bron stanowili nogi od krzeseł. Chuliżani zostali przepędzeni, w czym zresztą pomogła milicja. Księżę Nocy i Senior (zastępca) skryli się w pokoju Królowej Dziesiątki. Adlu-

# BYSTRZYCKIEJ

tanta Księcia odwiedziono do szpitala. Część bandy otrzymała wyroki sądowe. Po tych wydarzeniach została jednak zamknięta studencka kawiarnia. Pogrom bandy ucieszył chuliganów z pobliskich Stoków. Nie na długo jednak. Ostatnio w parku Matejki pobili oni dotkliwie jednego z mieszkańców osiedla. Powracający z miasta wieczorem są narażeni na ich ataki. Zaczyna się to zawsze stereotypowo w pobliżu przystanku „szóstki”.

— E, koleś! — klepięcie w ramię.

Po chwili ciosy od kilku osób z tyłu i z boku. Nazywa się to „sprawianiem komuś wesela”. W takim wypadku student przeważnie ucieka do „akademika” z okrzykiem: — Bij!

Wypadki pobicia są coraz rzadsze, gdyż studenci występują solidarnie. Mimo to Klub Pobitych wciąż zwiększa swoje szeregi. Niedawno dwaj pijani chuligani usiłowali wtargnąć do żeńskiego „akademika”. Wzbraniającymi drogi portierowi zerwali z głowy berej. Wezwani na pomoc studenci po chwili obezwładnili intruzów. Wkrótce odbyła się rozprawa w trybie doraźnym. Osobno odpowiadali za czyn chuligański; osobno za kradzież beretu.

Niestety, często i wśród studentów znajdują się przestępcy. W „akademiku” ginęły drobniaki, potem komuś zginił garnitur, wreszcie sprawą zainteresowała się milicja. Swojego czasu dwaj studenci wpadli na zbawczy pomysł. Chowali tecki, za które żądali potem dwa „winiacze” okupu. Teraz odsiadują sześciomiesięczny wyrok. Prawdziwą plagą w tym wszystkim jest nielegalny handel wódką prowadzony przez stare baby na terenie miasteczka. Wg niektórych sprzedają za 7 kobiet, wg innych tylko 4. Ostatnio jedna z melin uległa likwidacji na skutek ciężkiej choroby obrotnej kobiecej. Wódkę kupują studenci. Zmiany na lepsze, jakie daje się zauważyć w porównaniu z poprzednimi wydarzeniami sugerują, że może plaga zostanie usunięta zupełnie z osiedla i stanie się tylko wizją reportażystów, którzy koniecznie chcą zobaczyć więcej niż jest.

## CHANDRA BYSTRZYCKA

Nie oświetlona w nocy ul. Nowotki dochodzi się do miasteczka akademickiego na Bystrzyckiej. Studenci (blisko 3000 osób) zamieszkują cztery bloki. Piąty dom studencki buduje się w tej chwili nakładem 15 mln. zł.

Trudno mówić o życiu kulturalnym miasteczka. Kiedyś

przyjeżdżali tu literaci na wieczory autorskie. Przed laty w słynnym Domu Studenta rozwinął się oryginalny taniec „dżajfa”. Zmarzało się spotkać pijanych żaków na dachu czteropiętrowego gmachu, którzy jakoś się tam dostali, ale w zejścia musieli im pomagać straż pożarna. Teraz są jedynie seanse filmowe w kinie III kategorii „Studio”. Pcha się tutaj „chaly”, które od miesięcy zeszyły z ekranu na skutek braku widzów. Barak, gdzie funkcjonuje „Studio” mógłby służyć celom wznioślejszym (np. Dyskusyjny Klub Filmowy). Ciśnie się tu analogia z prowincją — pułap prowincjonalnego kina „Studio” kojarzy się mimo woli z pułapem prowincjonalnego nieba nad miasteczkiem akademickim na peryferiach wielkiego miasta.

Tymczasem są plany. Panuje przekonanie, że miasteczko zostanie rozbudowane po drugiej stronie ul. Nowotki na terenach radiostacji. Niedługo stanie Dom Kultury, o którym dużo się mówi w środowisku studenckim. Już w tej chwili wykańcza się stadion, który będzie połączony z Akademią Sportową.

Chodzimy ulicą Bystrzycką, pada deszcz. Może dlatego nasze wrażenia łączą się ściśle z chandrą. Nazywamy miasteczko Chandrą Bystrzycką, bo jest tu żalostnie jak w Chandrze Unyńskiej. Młodzież nie potrafi zorganizować sobie życia, uczynić je lepszym i ciekawszym. Jakoś o tym zapomnieli. Nie podejmują prawie żadnych prób walki.

— Spokojnie tu i cicho — mówi sprzedawczyni w owocarni „Babel Wiśniewskiej”. — Kiedyś przyjeżdżali faceci z miasta na rozróbki. Teraz już nie, chyba tylko po studentki.

Sklepik jest mały, nieelegancki. W niedzielę tylko tutaj można kupić pieczywo. W niedzielę po zamknięciu spółdzielni w IV DS i na rogu Nowotki, tutaj tylko można kupić winiacza za 25 zł. Podobno właścicielka często udziela kredytu. W ten sposób cicho i spokojnie można się dorobić na studentach. Prócz wymienionych sklepów w miasteczku funkcjonuje szewc-latkarz, fryzjer damski i męski, wreszcie kiosk „Ruch”. W kiosku spotykamy sympatycznego p. A. Kurnatowskiego. Chętnie służy nam informacjami.

— Często przyjeżdżają tutaj obce kobiety z miasta i nacągają zagranicznych studentów. A przecież teren miasteczka akademickiego powinien stanowić dla takich „ta-

bu”. Milicja powinna robić częste kontrole i wywozić te panny z ul. Bystrzyckiej.

— A co z samym kioskiem? Pan Kurnatowski przeprasza, że nie może służyć dokładnymi danymi. Tylko chwilowo zastępuje żonę.

— Powiem panom jedno. Jesteśmy nastawieni na zeszyty i papierosy. Żona trzymała książki, splajtowały. Tylko „Biblioteka Tygrysa” jest popularna. Z prasy tylko pewne pozycje. Weiaż brakuje „Przekroju”, „Przeglądu Sportowego”, „Ekranu” i „Filmu”.

Kiosk otrzymuje 2 egz. studenckiego tygodnika „Od nowa”, jeden egz. idzie do zwrotu. „Twórczości” nie ma w ogóle. O pisma literackie rzadko kto zapyta.

Wizyta w bibliotece (świetlica II DS) pozwala nam na ten problem spojrzeć weselej. Chyba nie jest źle, gdy popularny jest Bratny, Dygat i Hłasko, a z obcych Sartre i Hemingway. Klasyki natomiast drzemają na półkach.

— Daje się zauważyć spadek zainteresowania literaturą kryminalną na korzyść współczesnej prozy i młodej poezji. Z poetów łódzkich dziewczęta lubią J. M. Rymkiewicza — wyjaśnia kierowniczką.

Z biblioteki korzysta 650 osób. A gdzie są inni? Jest sobota, wieczór. Odbywają się jednocześnie dwie zabawy. W I DS orkiestra na estradzie, pary przy stolikach nad kawą. Dansing. W soboty i niedziele gromadzą się tutaj snobi z ul. Bystrzyckiej. Wyrażają się z pogardą o innych, którzy poszli na „potanie” do „czwórki” (dom Politechniki). Jutro sami tam pójda. W „czwórce” tłok i wrzawa. Przybyło wiele osób z miasta: studentów i nie-studentów, a szczególnie nie-studentek. Bufet wyjątkowo zaopatrzonego tego dnia w wino. Pary wynoszą butelki do świetlicy i wypijają przy stolikach. Do bójek nie dochodzi. Nikt nie przekroczył miary.

W hallu „czwórki” zaskoczenie. Spotykamy adiutanta Księcia Nocy.

— Książę Nocy był moim wrogiem nr 1 — mówi na początek adiutant. Ma tu wielu znajomych. Co chwila ktoś mu się kłania.

— Tamto wszystko było nieporozumieniem. Każdy ma tego dość. Teraz marzę jedynie o studiach w szkole artystycznej.

W lewym rogu sali pokazują nam uczennice ze szkół licealnych, które też tu trafiły.

— Po co te smarkule tutaj przyszły? — mówi ktoś koło nas.

Widocznie miasteczko przyciąga. Tak jest w soboty i niedziele. W inny dzień tylko wizyta rektora którejś z uczelni może wpłynąć na zmianę trybu życia mieszkańców osiedla. Życie miasteczka przenosi się w inne dni do śródmieścia Łodzi. Czasem jest to wizyta w „Filharmonii” czy „Teatrze Nowym”, czasem „setka” w „Smakoszu”, „Kolejowej” czy „Dworcowej”. Na Bystrzyckiej je się tylko śniadanie i kolację w stolówce i przyjeżdża się nocować.

Czasem jednak w osiedlu jest zupełnie wesoło, a z otwartych okien „akademika” uderzają przechodniów stare, zapomniane szlagiery.

— Co pan sądzi o życiu studentów na Bystrzyckiej?

Pytanie to zadaliśmy kilku osobom zamieszkującym tę okolicę. Ich mieszkania przeznaczone są do rozbiórki. Szewc-latkarz powtarzał wciąż, że nic nie potrafi powiedzieć.

— Przynoszą studentki buty, to reperują. Patrzcie tylko panowie, jakie marne buty. Tu nie ma wprost do czego przybić zelówki.

Po długich perswazjach podał nam adres osoby, która na to pytanie może odpowiedzieć szerzej. Nie zastaliśmy jej w domu.

Na „los szczęścia” udaliśmy się do jednego z pobliskich drewniaków. Pan Marcin okazał się bardzo uprzejmy.

— Młodość się musi wyszumieć. A zresztą to jest dobra młodzież. Czasem się wygłupiają, ale bez złej woli. Choćby niedawno rozwalili sąsiadowi płot na motocyklu.

Sąsiad uzupełnił wypowiedź pana Marciniaka informując, że młodzież za dużo pije.

— Okno mi, panie, wybił butelką od piwa, panie. Meldowałem milicji, ale gdzie ich tam znaleźć. A płot, panie, mieli naprawić. Gdzie tam! Tylko deski przynieśli.

Po tych wyjaśnieniach zdawało się nam, że jesteśmy w samym środku Polskiej powiatowej. Nie mogliśmy się wyzbyć wrażenia, że znajdujemy się w prowincjonalnym miasteczku. Kury nie rozgrze bują ulicę, ale w powietrzu rozlega się żalostne chlupanie chandry z rynien „akademików”.

Okończenie w następnym numerze

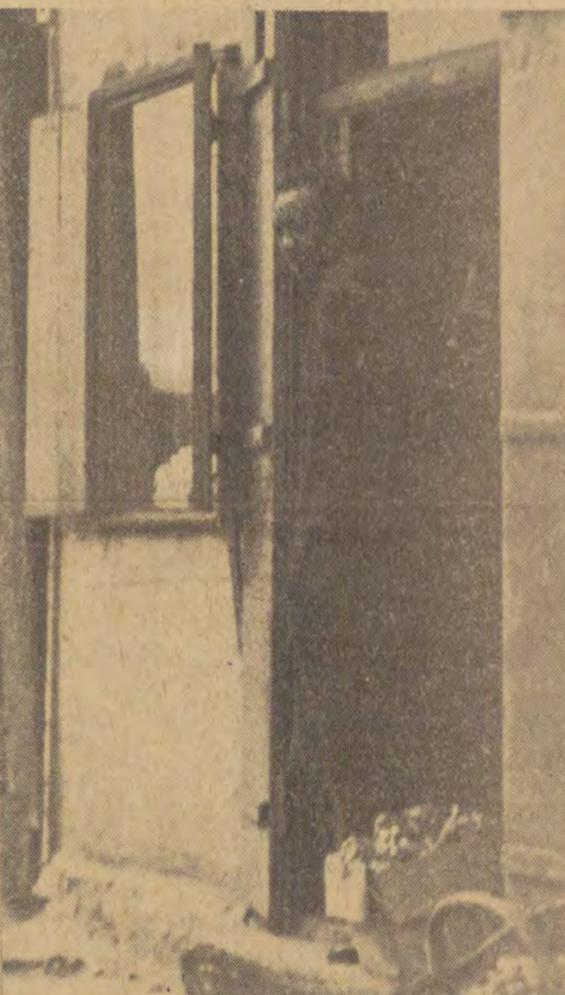
Tekst: Marek Regel i Konrad Frejdlch  
Foto: S. Michałowski



...nie oprze się pokusie samochodu



A biedni chłopcy patrzą bezradni, jak im „samochodzarze” podrywają dziewczęta.



...I pocieszać się mogą tylko owocarni pani...



Z Bystrzyckiej samochodem jedzie się do miasta dwie minuty. I wrócić można w futrze nylonowym



Natomiast tramwajem jedzie się długo i w tłoku; można tylko poobrywać guziki.

# TAJEMNICE



chem wnetrz, odpoczywał wśród kwiatów w ogrodzie rojnym od ptactwa. I wreszcie wyjazd z kraju, czyn w który trudno uwierzyć.

\* \* \*

W dniu 6 lipca 1935 roku, w małej wiosce na wschodzie kraju, w ubogiej rodzinie chłopskiej urodził się chłopczyk, który...

Nie. Ta opowieść tak się zacząć nie może. Nie chodzi o szablon, taki początek to nonsens.

Czternaste wcielenie nie mógł się urodzić, żył przecież zawsze. Jego dusza przywdziała tylko nową cielesną powłokę, tak jak się

elekcji — rozstrzygały o wyborze kandydata i oczywiście walczyły o wpływy. Tym razem spory trwały jednak za długo, przeorowie postanowili zakończyć bezkrólewie. Zarządzono mody, które, niestety, nie dały wyniku. Odpowiedzi dwóch wyroczni też nie dały — były iście pytyjskie.

Wówczas, czcigodny Zeczen, regent państwa spróbował ostatecznego środka — wybrał się we własnej osobie nad wielkie błękitne jezioro Kor-gye na południu kraju. Niekiedy bowiem w nieporównanie przejrzy-

żąc wszystkie za i przeciw, wreszcie, po kilku miesiącach ustalili, że wizja dowodzi nowego wcielenia Buddy i że trzeba przeprowadzić poszukiwania na wschód od Lhasy.

Tych, którzy mieli jeszcze wątpliwości, przekonał znak oczywisty, zdarzenie cudowne, niezbity dowód boskiej ingerencji. Oto zabalsamowane zwłoki XIII Dalaj Lamy kilkakrotnie wskazały na wschód.

Wiosną 1937, po czterech latach interregnum, kilka ekspedycji wyruszyło z Lhasy w kierunku wschodnim. Każda grupa zabrała ze sobą różne przedmioty, które kiedyś należały do zmarłego arcykapłana, a do każdego przedmiotu dołączono jego najwierniejszą kopię. Oryginał i kopię podawano się elektowi do rozeznania, był to rygorystyczny test.

Pierwszą eliminację przeżyło dwudziestu mładców, po dokładniejszej selekcji zostało ich tylko trzech. Jeden z chłopców nie przystąpił do ostatecznego egzaminu, ponieważ miał nie szczęście umrzeć przed czasem. Drugi popisał się nieszczęśliwie, bo uciekł na widok lamów. Trzeci, dwuletni brzdąc nie zwracał na nich uwagi, bawił się najspokojniej na przyzbie. Jednakże lama Kyi-tsang, szef ekipy, przeczuwał, że w tej ubogiej chacie wieśniaczej odnajdzie się zguba. Rozpoznał przecież po drodze trzykondygnacjowy klasztor, wijącą się ścieżką, pagórek i dom o dziwnym dachu. W dodatku dowiedział się, że klasztor poświęcony był mędrcom imieniem Kamapa. Zaiste precyzja wizji regenta była niezawodna.

Nim wkroczył do domu domniemanego Dalaj Lamy, Kyi-tsang przebrał się w szaty służącego, ale chłopak, do którego się zbliżył krzyknął radośnie i bez wahań: Lama, lama, I w dziłkim uniesieniu uwiesił się na złotym łańcuchu, niegdyś własności trzynastego wcielenia. Znak był fenomenalny, przedstawiono więc dziecku dalsze przedmioty należące do zmarłego, a rów nież ich doskonałe kopie. Były to: różaniec, bębenek liturgiczny, dzwonek, chustka do nosa i filizanka. Młodec nie pomylił się ani razu. Wreszcie została tylko laska i jej imitacja. Ku ogólnemu przerażeniu przeczona głową, odrzucił fałszywą łaskę, chwycił autentyczną i nie pozwolił jej sobie odebrać.

Nie zwracając uwagi na błędny wzrok matki, dorodnej wieśniaczki o szerokiach kościach policzkowych, la-

stej wodzie tego jeziora udawało się zobaczyć przyszłość.

Usiadł tedy regent na zboczu góry i długo wpatrywał się w wodę, czekając na wizję, która by go mogła oświecić. Po jakimś czasie nagle poryw wiatru zmałił powierzchnię jeziora, błękitna toń nabrała barwy mlecznej. Na białym tle, niby na karcie papieru ukazał się wyraźny czarny napis — trzy tylko sylaby: A KA MA. Po chwili napis znikł, ale pojawił się nieznaną klasztor o trzech kondygnacjach i dachach ozdobionych złoceniami i turkusowymi dachówkami. Od klasztoru biegła ścieżka na wschód aż do niewielkiego, nagiego pagórka o kształcie pagody. Naprzeciw pagórka stał domek o dziwacznych rynnach — czegoś podobnego regent w życiu nie widział.

Uczni teologowie naradzali się i dyskutowali wa-



## Dalszy ciąg ze str. 1

chody i kolej żelazna to dzieło kilku ostatnich lat, wszystko to zawdzięcza Tybet Chińskiej Republice Ludowej.

Nie brakuje natomiast klasztorów. Na milion mieszkańców kraju co czwarty człowiek jest mnichem, co trzeci ma jakieś święcenia kapłańskie. Na każdym trzystu obywateli wypada jeden klasztor. Są małe i całkiem maleńkie, są duże i ogromne jak Drebung, z jego dziesięcioma tysiącami mnichów.

Ale nic wspaniałością i ogromem nie może się zmierzyć z pałacem Potala. Rezydencja Dalaj Lamy składa się z całego kompleksu budynków. Całe miasteczko zbudowań gospodarczych, domów dla służby i niższego duchowieństwa rozciąga się u stóp Góry Czerwonej. Zakosami po setkach stopni wchodzi się do właściwego pałacu.

W połowie VII wieku król o dzwicznym nazwisku Srong-bdzan-sgam-po, właściwy założyciel państwa i jego stolicy, zbudował tu zamek. Tu mieszkali jego żony, chińska księżniczka i królowna Nepalu, władczyni łaskawe i dobroczynne, zaliczone później do rządu bóstw. Stąd ich potomkowie, potężni władcy, rządzą ob-

szarem rozciągającym się daleko na wschód i zachód, poza naturalne granice Tybetu. Przez kilka wieków kraj kwitnął kulturalnie i gospodarczo, mimo częstych wojen, prawie zawsze prowadzonych przez dzikie plemiona pasterzy, prawdziwych górali-zbójników, którzy wbrew zakazom z Lhasy co rusz wypadali za granicę łupić spokojnych sąsiadów. Minęły jednak dobre czasy. Rozdrobnienie feudalne osłabiło kraj, najazdy Mongołów zrujnowały go ostatecznie. Królowie stali się wasalami chanów tatarskich, później chińskich cesarzy. W połowie wieku XVII przy pomocy mongolskich żołdaków Ngag-dbang Blob-bzang, wielki przeor klasztoru w Galdan obalił świeckiego władcę i pod imieniem Rgyantszi — V Dalaj Lamy, sam objął rządy. Złożywszy hołd cesarzowi chińskiemu uzyskał aprobatę Pekinu i przekształcił Tybet w państwo teokratyczne. W rok później na miejscu zrujnowanego zamku, Dalaj Lama nakazał budowę nowej rezydencji. Kiedy umierał w 1682, po czterdziestu latach panowania, gmach nie był jeszcze gotowy.

Na najwyższym piętrze centralnej, purpurowej, części pałacu, pod malowniczo powyginanym dachem ze złotych płatów, na 120 metrów nad poziomem parteru mieszczą się apartamenty Dalaj Lamy. Dostać się tam niełatwo. Na każdej kondygnacji trzeba przejść labirynty korytarzy, z piętra na piętro wspinać się po drabinach o szczelkach cienkich i

oślizkich od tłustego kopca. W tysiącach lamp dniem i nocą pali się tłuszcz jakków. Dniem i nocą nawołują się warty — przy bramach, na murach, wewnątrz pomieszczeń. Przy drabinach czuwają strażnicy Dob-dob, specjalnie dobrane mniszki dwumetrowego wzrostu z kańczugami lub pałkami w ręku.

Potala jest również rezydencją monarszą, więzieniem i grobem Dalaj Lamy. Kiedy tam zamieszkał, jakby umarł dla świata. W zasadzie nie wolno mu opuszczać pałacu z wyjątkiem kilku dni w roku przeznaczonych na oficjalne uroczystości publiczne. Większą część życia spędza w swoich komnatach, za najbliższych sąsiadów mając mumie. W pozostałych bowiem pomieszczeniach najwyższego piętra znajdują się grobowce jego poprzedników, „powłoki cielesne” jego minionych wcieleń. Od zewnątrz wszystko wygląda imponująco: logie, rzeźby, freski, wywieszane na murach przepyszne tkaniny. Wewnątrz jest dość ponuro, a przede wszystkim skromnie, obowiązują mnisza asceza.

I znowu lata ostatnie przyniosły zmiany. Po roku 1951, już po uznaniu przez Tybet władzy centralnej w Pekinie, wybudowano dla obecnego Dalaj Lamy pałac letni w Norbu Ling-ka o trzy kilometry od stolicy. Kilka dni w roku wolno już spędzać władcy w tym pałacu szumnie nazwanym „Pełnią dobrobytu”, rozkoszować się iście wschodnim przepy-

wkładu szate, którą potem, kiedy przestanie służyć, trzeba będzie odrzucić.

A więc było to tak:

W 1933 roku Trzynaste Objawienie Absolutnego Bytu, uosobienie łaskawości i dobrodziejstwa — uroczyste zstąpił do rajy w wieku lat pięćdziesięciu siedmiu. Tam, wysoko w przeczystych niebiosach nad Dachem Świata, odcieleśniał, lecz żywy rozejrzał się za ciałkiem małego dziecięcia, w które zamierzał się wśliznąć po kryjomu, a nawet nie radząc się kapłanów ani wyroczni.

Namyślając się, badając rodziny i ich siedziby, mieszkańców wsi i miast, bogatych i biednych, szlachetnie urodzonych i ludzi z gminu, wążąc enoty i zasługi, przeczekał dwa lata. Mógł sobie na to pozwolić, nie musiał się spieszyć jak zwykły śmiertelnik, który ma na dokonanie reinkarnacji określony czas: 49 dni. Dalaj Lama, pan absolutny swego istnienia, mógł być odrodzić się kiedy i gdzie chciał, a zwłoka w tak ważnej sprawie była w pełni wskazana.

Tak więc — każdy mieszkaniec Tybetu w plecaku ze skóry jaka nosi bulawę bóstwa.

Tymczasem, w ciągu o-wych dwóch lat, na ziemi trwała regularna wojna między trzema największymi klasztorami: w Drebung, Sera i Galden. Trzy te instytucje — od roku 1543, kiedy wybierano III Dalaj Lamę i ustalano obowiązujący do dzisiaj rytuał

# DALAJ LAMY

JACEK LEBEN

## Niepodobna cofnąć czasu

mowie poczęli rozbiierać dziecko, Bodhisatwę przedstawia się zawsze z czterema ramionami — gdyby miał być wcieleniem bóstwa chłopiec winien posiadać odpowiednie zgrubienia na łopatkach lub obojczykach. Winien mieć również uszy znacznie dłuższe niż człowiek normalny — jest to najpewniejsza oznaka mądrości. W końcu na skórze dłoni winny znajdować się ślimakowate piętna.

Znaleziono wszystko, co podawały księgi — dwuletni Lhamo Dhondup był czternastym wcieleniem.

Od następnego dnia życie jego już do niego nie należało. Był bogiem. W swych maleńkich łapkach dzierżył władzę najbardziej niezwykłą, ale w zamian czekała go edukacja nieludzka, mordercza.

Był bogiem. W istocie był niczym, za ledwie symbolem władzy. Koczownicy z ponurych pustkowi w Szang-tangu, chłopcy pańszczyźniani, chłopcy-niewolnicy z wielkich dóbr feudalnych, niezliczeni żebracy, łachmaniarze ze strasznych pieczar w Gyang-tse, wszyscy ci nędzarze wyzuci z praw dopominali się o realne istnienie bóstwa, w chorobliwej i fanatycznej wyobraźni umyślał sobie je wyposażone we wszystkie ziemskie splendory.

Władzę efektywną sprawowali: regent, czterech członków gabinetu ministrów, czterech przeorów wchodzących w skład Rady Świętej. Rządzili w oparciu o klasztory i rody feudalne, a ściślej o 175 rodzin ziemiańskich.

Lamowie i posesjonaci świeccy umieli dbać o swoje przywileje. Postarali się, by żadna myśl niebezpieczna nie zakłóciła ich błogostanu: dlatego Tybet przez kilka wieków był odcięty od świata, dlatego dziś jeszcze pozostaje krajem bez dróg. Szukali opieki u cesarza chińskiego i znaleźli ją, lecz kiedy naród chiński obalił zmurszałą monarchię, sprzymierzyli się z imperialistami z zachodu i ogłosili „niepodległość“ Tybetu.

Nie znaczy to, że wewnątrz kraju panował spokój. Stosunki społeczne, odpowiadające wczesnemu średniowieczu w Europie, nie mogły nie zaważyć na obyczajach. Ważne rodowe, rywalizacja poszczególnych frakcji, zatargi między klasztorami kończyły się niekiedy bez przelewu krwi. Jeśli jednak starły się interesy wielkich klasztorów, jeśli atletyczni mnisi z Sera napadli na Drebung, lub odwrotnie, nie mogło się obyć bez ogólnej rzezi.

Od czasu do czasu wybuchaly również wojny religijne.

Na ogół cała ludność Tybetu wyznaje lamaizm, czyli buddyzm sprymityzowany, uzupełniony ogromnym pantheonem bóstw męskich i żeńskich, mnóstwem zabobonów oraz magią, pozostałością po dawnych obrzędach szamańskich. Jednak od VII wieku, kiedy Padma Sambhawa, świątobliwy mnich hinduski wprowadził nową religię, lamaizm był kilkakrotnie reformowany. Ostatnia taka reforma nastąpiła na przełomie XIV i XV wieku, kiedy niejaki Tsong-kha-pa założył sektę „czupak” Obecnie jest to kościół urzędowy Tybetu, przywódcą sekty jest każdorazowy Dalaj Lama. Istnieją jednak dwie sekty starsze: „czupak czerwonych“ z XI wieku i „białych“ z początków XIV. Czerwoni nie chcą zapomnieć, że ich przywódca sprawował kiedyś władzę w państwie. Rzeczywiście sprawowali ją od 1269, kiedy wielki chan Mongołów

— Kubilaj mianował Pagba Lamę wielkorządcą Tybetu.

Tak więc Dalaj Lamie, nawet dorostemu, nawet gdy posiada ambicję władczą, nie zawsze udaje się rządzić samowładnie. Musi przedtem zwalczyć silne opory nawet w gronie sojuszników, złamać potęgę klasztorów, rozegrać finezyjną partię polityczną.

Czasami jednak udaje się... o ile Bóg pozwoli mu żyć.

Bo w tysiącu komnat i labiryntach Potali, mrocznych pomimo stale płonących lamp oliwnych, intrygi snują się latami, lecz trucizny działają piorunująco. A pod złotymi dachami jest jeszcze wiele miejsca na nowe, wspaniałe sarkofagi. W tajemniczych okolicznościach, dosłownie w przeddzień uzyskania pełnoletności zmarli po kolei aż czterech Dalaj Lamowie: dziewięć, dziesięć, jedenasty i dwunasty. Bardzo niedawno, w XIX wieku.

A dlaczego zamordowany został w roku 1947 regent Ze-czen, ten sam, który w wodach jeziora wypatrzył obecnego Dalaj Lamę? Czy przeskądzała komuś jego prochińska orientacja?

Ale tego dnia, gdy zabierano go z domu rodzicielskiego, dwuletni Lhamo niczym jeszcze nie ryzykował. Spał zresztą głęboko w lektyce o złotych zastawach, unoszonej szybko w kierunku Lhasy na barkach 36 tragarzy.

Nazajutrz wieczorem bramy rezydencji zatrzasnęły się za złotym palankinem. Małego chłopczyka zaniesiono ostrożnie na najwyższe piętro i ułożono spać na twardym materacu. W Potali nikogo nie rozpieszczano. Życie malca regulował od-tąd odwieczny rytuał. Modlitwy, posty, pokuta, specjalne ćwiczenia w ascezie, obowiązkowe nocne czuwania, medytacje, komentowanie ksiąg, dyskusje teologiczne z uczonym; w piśmie — zwykle w małym gronie w pałacu i uroczyste w wielkich klasztorach w obecności wszystkich zakonników.

I oczywiście nauka, dużo nauki.

W czasie publicznych występów jemu, młodemu silnemu chłopcu, nie wolno było podnieść się samemu z fotelu, ani stąpić kroku, musiał go podtrzymywać lamowie. Bo w rzeczywistości był przecież starcem, musiał naśladować powolny, zmęczony i niepewny chód Buddy w ostatnich latach jego życia.

Ale najbardziej męczyła go szaleńcza ekstaza tłumów. Nie dziwił się jej zresztą, już się przyzwyczaił do myśli, że jest osobą uświęconą. Tylko przykro było patrzeć na czolgających się pielgrzymów. Wiedział, że niektórzy przebywają w ten sposób tysiące kilometrów tylko po to, by zobaczyć jego, żywego boga i otrzysnąć za tę zasługę prawo do lepszego bytu w następnym wcieleniu.

Skurecz, rozkurecz... fanatyczny rytym pełzania trwa niekiedy całymi latami. Ludzie — płazy w dziwnych ochrania-czach drewnianych na ręce, w fartuchach ze skóry bawolej na brzuchach wędrują z różnych stron świata do Lhasy, utrzymując się po drodze z zasłużonej jałmużny.

Jego świątobliwość miał lat czternaście, gdy z dachu pałacu zobaczył, jak chłopcy w tym samym wieku grają w piłkę. Zobaczył i zapłakał. Obecny przy tym mistrz ceremonii omal nie spłonął ze wstydu.

Odtąd Dalaj Lama nie płakał ani razu. Ale zbuntował się. Najpierw polecił bratu znieść płotecki. Z niezmiennym, zagadkowym

uśmiechem żywego Buddy słuchał opowieści o miłośnikach, kłótniach, awanturach i zgonach, o nazwiskach i charakterach przyjezdnych. Później wynalazł zabawę jeszcze bardziej fascynującą. W tobołkach Trzynastego, swego poprzednika wysuwał angielską lornetkę polową i wbrew upomnieniom wychowawców dowoli zażywał rozkoszy obserwowania ulic, domów, a nawet wnętrz mieszkalnych. Zaiste, niebiańska to przyjemność widzieć, nie będąc samemu widzianym.

Przez lornetkę wypatrzył kiedyś Europejczyka. Ku powszechnemu zgorszeniu kazał go sprowadzić do pałacu. Był to Austriak nazwiskiem Herrer. Do Tybetu dotarł po niesłychanych przygotowaniach. Zwiędził przedtem kawał świata, miał ogromne doświadczenie i sporo wiedzy. Tytuł Dalaj Lamy nie imponował mu ani go nastraszył. Zachowywał się zupełnie naturalnie, co oszołomiło i zachwyciło młodzieńca. Mianował go jedynym ze swych nauczycieli; chciał wiedzieć, co się dzieje na świecie, a przede wszystkim chciał nauczyć się nowoczesnej techniki. Interesowała go optyka, fotografia, film.

Sprowadzono z Indii aparat projekcyjny i filmy urządzono w Potali salę kinową. Kabinę obsługiwał sam Dalaj Lama. Przechodził wówczas kryzys wiary. Nowa namiętność pozwoliła mu utrzymać równowagę ducha.

Taki był początek przemian w Tybecie. A później historia potoczyła się szybko.

Na podstawie artykułu C. Lanzmann („Elle“) oprac. O. H.

Jednym z filarów, na których opierała się władza lamów, był strach ciemnego ludu tybetańskiego przed czarami. Chińczycy otworzyli punkty lecznicze — chirurgia i nowoczesna medycyna zaczęły zwyciężać czary i zabobon.

Zaczęto budować domy i zachęcać do osiedlenia.

Tępieno bandytyzm na górskich ścieżkach — jedynych gościńcach Tybetu.

Chińczycy zbudowali drogę, która połączyła Chinę z Tybetem. Duża część drogi została wykuta na skalnych półkach, zawisała nad przepłczami. Tą drogą płyną z Chin transporty taniej żywności: ryżu, soi, mąki, która przedtem dowożona transportami jaków była bardzo droga i stanowiła przedmiot kupieckiej spekulacji.

Wszędzie, w każdej dziedzinie tego dziwnego, tajemniczego kraju, ścierało się stare życie z nowym. Stare tkwiło korzeniami w zamierzonych tysiącleciach, nowe życie niosła chińska rewolucja.

Chińska armia ludowa weszła do Tybetu w roku 1951. Chińczycy, to ostrożni i mądry politycy. Do problemów tybetańskich podeszli w białych rękawiczkach, z niesłychaną ostrożnością, z taką ostrożnością, że w 1959 roku, w autonomicznej prowincji kraju budującego socjalizm, istnieje jeszcze niewolnictwo.

Ale nawet najbardziej ostrożna rewolucja podmywała odwieczną władzę feudalów i lamów.

W marcu 1959 r. chwycili za broń feudalowie, część lamów, 20 tys. najbardziej obalonych i zacofanych. Wsunęli hasła suwerenności Tybetu, czyli oderwania Tybetu od Chin. Suwerenność dla nich znaczyła odcięcie się od postępu społecznego, znaczyła utrzymanie w II połowie XX wieku zacofanego, teokratycznego państwa. Znaczyła suwerenność w niepojętym wyszoku.

Tybet od wieków nigdy nie był suwerennym krajem. Był zawsze związany z Chinami — mocniej lub słabiej. Zależało to od potęgi samych Chin. Suwerennych praw Chin Tybetu nikt nigdy nie podważał. Departa-

ment Stanu USA stwierdził w 1948 roku: „USA traktują Tybet jako integralną część Chin“. W 1951 r., a potem w roku 1954, zostały podpisane porozumienia między Chińczykami a Indiami — dwoma wielkimi państwami tej strefy. Na mocy tych porozumień, Indie uznały suwerenność Chin nad Tybetem. Chiny natomiast uznały związek księstw himalajskich Butan i Sikki z Indiami oraz uznały suwerenność Nepalu.

Przywódcy Tybetańczyków — Dalaj Lama i Panczen Lama, sami przecież podpisali dokument suwerenności Chin nad autonomicznym Tybetem, obaj studiowali w Pekinie, obaj byli rzecznikami szybkiego postępu, z czym zresztą musieli się kryć.

Dalaj Lama był przeciwnikiem rebelii, ale po jej wybuchu znalazł się na terytorium Indii. Rząd chiński podał do wiadomości, że został on zmuszony do opuszczenia Tybetu.

Rebelia w Tybecie przekroczyła, jeżeli chodzi o jej znaczenie, tybetańskie granice. Kola imperialistyczne na całym świecie uznały ją za hasło bojowe do podjęcia nagonki przeciwko Chinom. Pospaly się słowa uznania, współczucia i poparcia dla rebeliantów z ust prezydentów, premierów, ministrów. W niezmiernie delikatnej i trudnej sytuacji znalazł się rząd Indii. Cała reakcja hinduska spoza partii kongresowej i z samego jej łona podjęła generalny atak przeciwko polityce neutralności Indii. „Poprzez tybetańską rebelię“ — wołał zgodnym chórem cała hinduska reakcja.

Premier Nehru odpowiada: „Uznaliśmy suwerenność Chin nad Tybetem, nie mamy prawa mieszać się w wewnętrzne sprawy Chin. Zimna wojna między Indiami i Chinami, która byłaby tego następstwem, rozpełtałaby zimną wojnę w całej Azji“. Nehru odczytał się od postępu społecznego, znaczyła wrócić do Tybetu. W Pekinie wybrano Dalaj Lamę wiceprzewodniczącym Państwowej Rady Konsultatywnej.

W niedostępnych górskich okęgach Tybetu kona rebelia feudalów, kona nie tylko dlatego, że musiała przegrać walkę z armią chińską, przegrała przede wszystkim z czadym, którego cofnąć niepodobna.



Pałac Dalaj Lamy. Masywny, jakby wykuty z jednej bryły, trapezowaty — szerszy u podstawy i łagodnie zważający się ku górze. Jak wszystkie wielkie budowle Tybetu — olbrzymi gmach z niezliczoną ilością tarasów, ramp, uskoków i załomów muru słusznie uchodzi za arcydzieło architektury światowej



JANUSZ SKOSZKIEWICZ

## Wypożyczamy książki

Przyjęcie od czytelnika książki, adnotacja na karcie, sięgnięcie do półki, wpisanie do metryczek daty wypożyczenia i oddania, wręczenie książki czytelnikowi — parę mechanicznych, powtarzających się czynności. Systematyczność do idealnego schematu. Taka na pierwszy rzut oka jest praca bibliotekarza. Ale nie jesteśmy tak naiwni, aby sądzić, że to jest jego właściwa praca. Oto właśnie oddaje przeczytaną książkę sympatyczny młodzieniec. Teraz czeka, aż mu bibliotekarka da inną. Jaką? „Ano taką, panj wie, ciekawą”. Co jest dla młodego człowieka ciekawe? Co już czytał, czego jeszcze nie zna? Czego właściwie pragnie? Kryminału czy powieści historycznej? Prusa czy Prousta, Zerkomskiego czy Kafki? I bibliotekarka musi z nim porozmawiać, zorientować się

nie tylko w gustach, ale i poziomie wykształcenia i odczytania. Tak. Tu nie wystarczy podać dobrą książkę. Wiele jest dobrych książek, ale samo pojęcie „dobra książka” jeszcze nie ma znaczenia. Dobra książka! Na Zeusa! Znam straszliwy bigos światopoglądowy i intelektualny pewnego młodzieńca, który czytał dobre książki: Balzaca i Lwa Tołstoja, Zegadłowicza i Hemingwaya, Stendhala i Magdaleny Samozwaniec. Oto jest piękło dobrych książek, o które zatrącił w jednym z felietonów w „Odgłosach” Tadeusz Papier. Nie ludźmy się. Literatura jest wielkim wjaśnieniem. Nie można czytać France’a, Dostojewskiego czy nawet Prusa bez podstawowej wiedzy i podstawowego odczytania. Owszem, niestety można. Parę lat temu na własne uszy słyszałem, jak ktoś

przemawiał, twierdząc, że socjalizm już był za faraona, tylko, że potem Piłsudski wprowadził dyktaturę. Oto jest przykład czytania jakże popularnego „Faraona” Prusa, bez osadzenia w historii i geografii, bez podstawowej wiedzy o epokach. Zaprawdę, piękło niewiedzy może być wybrukowane nawet dobrymi książkami.

A wnioski? Dokształcenie społeczeństwa musi iść szerokim frontem. Szkoła — to jedna linia natarcia. A druga? Druga zaczyna się tam, gdzie kończy się szkoła. To biblioteka. To od bibliotekarzy zależy czy wpełzną kogoś w piękło złych lub dobrych książek, czy też wykonają dobrą i pożyteczną robotę. A więc zagadnienie kadr. Kadry, które z powodu wadliwej polityki plac są płynne. Na miejsce odchodzących przychodzi nowi ludzie, których dopiero trzeba włączyć do pracy i przeszkolić. To nie jest takie łatwe i proste. A przecież praca bibliotekarza nie polega na mechanicznym przyjmowaniu i wypożyczaniu książek. Ambicją łódzkich bibliotek rejonowych kierowanych przez Miejską Bibliotekę im. L. Waryńskiego — jest stworzenie z wypożyczalni ośrodków ruchu czytelniczego. Przy wypożycza-

niach prowadzi się czytelnice czasopism, organizuje spotkania z pisarzami i odczyty. Z dziećmi prowadzi się specjalne zajęcia, jak głośne czytanie, omawianie książek czy rysowanie ilustracji przeczytanych fragmentów „Chaty wuja Toma” albo „Koziołka Matołka”.

Czy dużo mieszkańców Łodzi korzysta z wypożyczalni? Jak jest znaczenie książki w życiu łódzianina?

Zwłaszcza na to ostatnie pytanie trudno jest odpowiedzieć bez specjalnych badań socjologicznych. Świeżo otwarte biblioteki rejonowe skupiają do około 500 czytelników. Te, które zrosły się już z terenem, miewają ich około tysiąca. W Łodzi jest dwadzieścia jeden wypożyczalni rejonowych dla dorosłych i czterdzieście dla dzieci i młodzieży do lat osiemnastu, a więc jakieś kilkanaście tysięcy osób korzysta z tych bibliotek. Oczywiście istnieje ponadto w mieście cały szereg bibliotek szkolnych czy związkowych, no i wreszcie prywatnych. Ważne jest to, że czytelników wciąż przybywa i że sieć bibliotek rejonowych rozszerza się w kierunku peryferii, sięga nawet do odległych podmiejskich miej-

scowości. Uruchamia się więc wypożyczalnie w Olechowie i na Kowalszczyźnie, reaktywuje pracę w Rogach i Łagiewnikach, ożywia ruch czytelnicy w Retkini i na Nowym Złotnie.

Co ludzie najchętniej czytają? To zależy przede wszystkim od dzielnicy. W jednych cieszy się głównie powodzeniem literatura kryminalno-sensacyjna, podróżnicza, powieści historyczne i fantastyczno-naukowe z wyraźną predyspozycją do astronautyki. Tak jest w Rudzie Pabianickiej. W innych — jak w wypożyczalni przy Narutowicza — cieszą się powodzeniem niemal wyłącznie nowości, książki modne, których znajomością można się poszczycić w towarzyskiej, błyskotliwej rozmowie.

Coraz częściej ludzie domagają się dobrych książek popularno-naukowych, toteż w tej chwili wypożyczalnie przy zakupie książek zwracają uwagę na tę literaturę.

I tu — na zakończenie — jedna uwaga natury technicznej pod adresem wydaw-



nictw. Otóż książki nowo wydane mogą się znaleźć w przeciągu zaledwie paru dni od chwili zakupu w rękach czytelnika tylko pod jednym warunkiem — jeśli wydane są w oprawie. Jeśli zaś książka nie ma oprawy, musi być oddana do introligatorni. A wtedy czytelnik może dostać książkę dopiero po upływie kilku miesięcy. Czy nie warto by było pomyśleć o takich, estetycznych oprawach sprzedawanych książek? A może tak ze sztucznych tworzyw?

Foto: autor



# paleta

Korespondencyjny Kurs Języka Plastycznego pod redakcją HENRYKA ANDERSA

## „ATOM i SZTUKA“

Pod tym tytułem w 17 (77) numerze Trybuny Literackiej pan (ww) omówił lutowy zeszyt amerykańskiego czasopisma poświęconego fizyce jądrowej. Był to zeszyt szczególnie ciekawy, uczeni różnych specjalności oraz krytycy artystyczni dzielący się opiniami na temat sztuki.

Zainteresowanie sztuką oraz, sygnalizowana przez autora recenzji, wysoka kultura humanistyczna naukowców są faktem, który trzeba docenić. Jednakże cytowane fragmenty wypowiedzi nasuwają sporo zastrzeżeń. Wymagają też repliki. Po pierwsze — jako typowe równieź dla pewnych kół naszej rodzimej inteligencji. Po dru-

gie — ze względu na komentarz odautorski recenzenta, który autorytetem wielkich sław nauki chciałby pognać do sztuki nowoczesną.

Profesor biochemii na uniwersytecie Illinois, naczelny redaktor czasopisma, Eug. Rabinowitch przeprowadza porównanie nauki i sztuki. Dowodzi, że nauka od pierwotnego stadium analizy rzeczywistości dąży do coraz szerszych i dalej sięgających uogólnień. Owo dążenie do syntez podyktowane jest nie tylko względami praktycznymi, ale również intelektualnymi i uczuciowymi potrzebami społeczeństwa, które zawsze pragnęło i pragnie oglądać całościowy, pełny obraz świata. Nauka jednak — jako proces ciągły i nieskończony — nie może dostarczyć takiego obrazu, nie może w jednym uogólnieniu ogarnąć wszystkich zjawisk fizycznych i psychicznych. Odczucie pełni i całości potrafi

człowiekowi dać tylko sztuka. Ale sztuka współczesna naśladuje dawną naukę, dąży jedynie do analizy, daje uproszczony, wyidealizowany zlepek elementarnych cząstek dawnej żywej całości, szanowanej w ciągu wieków „jedności ciała ludzkich, zwierząt, roślin, budowli i krajobrazu”. Tendencja ta najłatwiej uchwytana jest w malarstwie — w „surowych bryłach Picassa” lub w „czystych liniach i czystej palecie Mondriana”.

Panowie, zastanówcie się. Jeżeli nauka odmawia syntezę współczesności, nie czuje się na siłach, na czym ma oprzeć się sztuka? Na wiedzy objawionej? Czy zadowolili to naukowca i marksistę?

Były epoki, kiedy ogólny stan wiedzy upoważniał do prób syntez filozoficznej, podejmowała je wówczas i sztuka. Później pojawiały się konieczność analizy nowopowstałych zjawisk, a w dalszej kolejności — pora nowej syntezy. Wie o tym doskonale prof. Rabinowitch, skoro na innym miejscu przepowiada, że następne pokolenia artystów odkryją znowu sposoby całościowego widzenia świata.

Czy jednak nie jest zbyt pochopne twierdzenie, że sztuka współczesna ogranicza się wyłącznie do rozbijania na atomy widzialnej rzeczywistości? Z równą dozą słuszności można by stawiać jej zarzut zbyt daleko posuniętych uogólnień. Obie tendencje istnieją obok siebie, chociaż wydaje się, że na pełna,

wielką syntezę, istotnie, jeszcze nas nie stać.

W każdym razie przypisywanie sztuce Picassa czy Mondriana tendencji czysto analitycznych jest zwykłym nieporozumieniem.

Pierwszy lepszy, barwny preparat mikroskopowy — pisze dalej prof. Rabinowitch — wygląda bardziej interesująco niż płótna Juana Miro, a pierwszy lepszy wycinek z hodowli pleśni czy bakterii daje większą satysfakcję „estetyczną” niż rzeźby Brancusiego.

Na miły Bóg, co to znaczy? To ma być język naukowca? Dla kogo wygląda?... Komu daje?... Prof. Rabinowitchowi? Jego własne, subiektywne odczucie nie może być argumentem. Wygląda. Nadal wygląda, że słońce kręci się koło ziemi.

Choć mówiło się o tym już tysiąc razy, ciągle jeszcze trzeba powtarzać: wartości dzieła sztuki nie mierzy się ilością osób, którym się ono podoba lub nie podoba. Co by się stało z nauką, gdyby przymierzać do niej powszechne odczucie i tak zwany zdrowy rozsądek?

Mało poważny jest również argument o fotografii. Rabinowitch — jak podaje (ww) — stwierdza, że dobra kolorowa fotografia fragmentów natury może zastąpić utwory Miro i Brancusiego, nie potrafi zaś oddać wartości plastycznych zawartych w dziełach starych mistrzów.

Coś tu nie tak. Istnieje fotografia artystyczna, twór-

cza, operująca własnymi środkami wyrazu i właśnie dlatego nie nastawiona na zastępowanie Rembrandta ani Miro, ani nikogo innego. Istnieje również reprodukcja fotograficzna natury — czy to będzie krajobraz rzeczywisty czy obraz namalowany — ta, nawet najwyższej jakości technicznej, nie zastąpi obecności z oryginałem, to znaczy z dziełem zawierającym momenty twórcze. A jeżeli pana (ww) i prof. Rabinowitcha silnie wzrusza kolorowa fotografia niż obraz, to jest już sprawa ich osobistej wrażliwości.

Jako argument przeciw współczesnemu malarstwu, a raczej tasyzmowi (dlaczego tylko tasyzmowi? — p.a.), w tymże numerze biuletynu profesor historii sztuki w Nowym Jorku H. W. Janson z wielką satysfakcją odgrzewa starą historię o malpice, która malowała i o krytykach w Baltimore, którzy myśleli, że to nowoczesne obrazy. No i co z tego?

Sam prof. Janson przyznaje, że „dzieła” Betsy — owego szympansa — odznaczały się walorami estetycznymi. Posiadały więc pewne cechy dzieła sztuki, a nie stały się nimi tylko dlatego, że ich efekt ostateczny nie był zamierzony, w procesie powstawania ich brakowało woli twórczej, jak również świadomości artystycznej autora. Można się spierać o wartość ideologiczną abstrakcjonizmu, można kwestionować jakość poszczególnych dzieł — tak

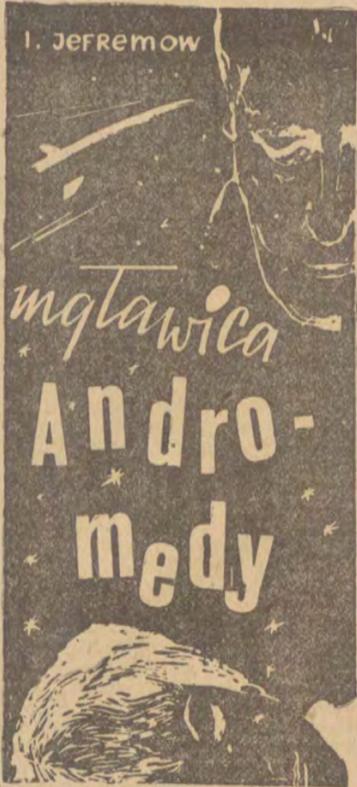
jak we wszystkich dziedzinach sztuki możliwa tu jest rozpiętość od kiczu do arcydzieła — ale umieszczanie tasyzmu poza krągami twórczości jest u jednych aktem ignorancji, u drugich — zlej woli. A już śmieszne jest twierdzenie, że to ruch dla rozwoju kultury obojętny. Nie może być obojętny choćby przez swoją masowość, zresztą, gdyby był obojętny, nie wytrząsaliby się tak nad nim panowie Janson i (ww).

Kilka słów wreszcie o ostatecznej tezie autora. Według pana (ww) charakter współczesnej sztuki ma być oznaką kryzysu kultury zachodniej. I żeby dobić całkiem sztukę nowoczesną pan (ww) pisze: „Jest to godna uwagi diagnoza, zwłaszcza gdy się zważy, że wysuwa ją środowisko zrzeszające umysłowości tej miary co Linus Pauling i Robert Oppenheimer — ludzie kształtujący nasz obraz materialnego świata”.

Bardzo przepraszam, ale to chwyt polemiczny bez wartości, tylko pozor argumentu. Po pierwsze — kto stawia diagnozę, Pauling i Oppenheimer czy środowisko? Chyba zgodzimy się, że środowisko wielkich uczonych nie koniecznie musi być genialne, pozwolę sobie wspomnieć np. o Galileuszu. Po drugie — na wet geniusz nauki, nawet sam Oppenheimer, może się nie znać na sztuce. A gdyby tak Picasso oświadczył, że cała współczesna fizyka jest guzik warta? Czy ktoś by to potraktował poważnie?

## odgłosy





Ziemska rakietka międzyplanetarna „Tantra” znalazła się w tragicznej sytuacji na skutek braku paliwa. Nagle na drodze swej napotkała Żelazną Gwiazdę, która poczęła przyciągać ją ze straszliwą siłą. Brak paliwa amazonowego uniemożliwiał wyrwanie się spod władzy Żelaznej Gwiazdy. Astronauci postanowili lądować na jednej z planet Żelaznej Gwiazdy. Podczas przelotu nad planetą zauważyli leżący na jej powierzchni jakiś dziwny przedmiot, przypominający ziemski statek międzyplanetarny, a obok dzwaczny martwy statek w kształcie dysku. Wylądowawszy na planecie astronauci z „Tantry” udali się na zbadanie statku międzyplanetarnego z Ziemi. Był to zaginiony przed wielu laty gwiazdolot „Zagiel”. Załoga jego wyginęła w tajemniczych okolicznościach. Na gwiazdolocie znaleziono nagrane na taśmie magnetofonową ostrzeżenie przed straszliwym niebezpieczeństwem zagrażającym na planecie.

Astronauci uzupełnili swe zapasy paliwa paliwem z wymarłego statku. I po walce z okropnymi stworami zamieszkującymi planetę, odlecieli w kierunku Ziemi. W powrotnej drodze zajęto się przeglądaniem filmów dokonanych przez zaginionych członków załogi „Zagla”.

Filmy nakręcone w odległości ośmiu parseków od Słońca, osiemdziesiąt lat temu, zachowały się jednak w doskonałym stanie. Wypukły stereoeokran przeniósł czterech widzów z „Tantry” w przestrzeń, gdzie świeciła błękitna Wega.

Szybko zmieniały się kolejne obrazy — migawki z życia statku. Przy maszynie do obliczeń pracował bardzo młody, liczący zaledwie dwadzieścia osiem lat kierownik ekspedycji, wśród załogi byli jeszcze młodszy naukowiec. Na ekranie pojawił się uwieczniony widok codziennej gimnastyki, która dorównywała niemal ćwiczeniom akrobacyjnym. Wesoły, lekko ironiczny głos, wyjaśnił, że pierwsze miejsce zajmuje biolog. I rzeczywiście dziewczyna ta z krótkimi, jasnymi jak len włosami, wykonywała z łatwością najtrudniejsze ćwiczenia swobodnie panując nad swym wspaniałe zbudowanym ciałem.

Oglądając te realistyczne obrazy, które dzięki specjalnemu urządzeniu zachowały naturalny kolorystyczny wymiar — zapomniało się, że ci wesołi młodzi astronauci, zostali już dawno pożarci przez potwory z Żelaznej Gwiazdy.

Skąpa kronika z życia załogi minęła szybko. Pokazały się obrazy przedstawiające zbliżającą się gwiazdę. Świeciła ona tak intensywnym blaskiem, że nawet widzowie musieli założyć ochronne okulary. Wega była trzykrotnie większa i cięższa od Słońca. Ołbrzymie, mocno spłasz-

czona obracała się z prędkością trzystu kilometrów na sekundę. Tworzyła kulę niezwykle jaśniejącego gazu o temperaturze wynoszącej jedenaście tysięcy stopni, rozpościerając na miliony kilometrów skrzydła różowawo-perłowego ognia. W głębi blasku jej promieni kryła się najbliższa planeta. Ale tam, do tego morza ognia, nie mógł dotrzeć żaden ziemski statek. Obraz zamienił wykład referenta o dokonanych obserwacjach i na ekranie pojawiły się wykresy przedstawiające położenie pierwszej i drugiej planety Wegi. „Zagiel” nie mógł zbliżyć się nawet do drugiej planety odległej od gwiazdy o sto milionów kilometrów.

Energia Wegi była tak wielka, że promieniowała ona światłem fioletowym oraz niewidzialną częścią widma spektralnego. Promieniowanie to porażało ludzki wzrok nawet pod ochroną potrójnych filtrów. Nad gwiazdą przechodziły burze świetlne. Echa ich niebezpiecznie rozkołysały „Zagiel”. Przeszły działać liczniki promieniowania kosmicznego. Wewnątrz statku poczęła niebezpiecznie zwiększać się jonizacja. Można było tylko snuć domysły o potężnej promienistej energii, która płynęła potworną lawiną w niezmierną pustkę kosmosu.

Kierownik „Zagla” ostrożnie prowadził statek do wielkiej trzeciej planety, otoczonej tylko cienką warstwą przezroczystej atmosfery. Zapewne ognisty oddech niebieskiej gwiazdy odegnał powłokę z lekkich gazów, które ciągnęły się za gwiazdą długim ogonem. Atmosfera nasycona była parami fluoru, tlenkiem węgla oraz innymi trującymi gazami. Żadna istota ziemiska nie mogłaby istnieć w tych warunkach,

Na powierzchni planety sterczały ostre wierzchołki i wysokie łańcuchy czerwonych jak świeże rany mas kamiennych. Na wyglądzonych przez wściekłe huragany płaskowzgórzach z lawy wulkanicznej widniały przepaście i szczeliny, w których płynęła rozżarzona lawa. Przypominały one żyły krwawego ognia.

Wysoko unosiły się gęste obłoki popiołu — oślepiająco błękitne po stronie oświetlonej, a nieprzeniknięte czarne po drugiej. Ołbrzymie błyskawice długości tysiąca kilometrów przepoływały niebo we wszystkich kierunkach świadcząc o wielkim nasyceniu atmosfery energią elektryczną.

Obserwowali groźne, fioletowe widmo ołbrzymiego słońca, czarne niebo na wpół zasłonięte błyszczącą aureolą perłowego blasku. Na planecie zaś widać było purpurowe, kontrastowe cienie, ogniste bruzdy, nieprzerwany blask zielonych błyskawic...

Stereoteleskopy przekazały a elektronowe filmy utrwaliły ten niesamowity widok z nieludzką, objętą dokładnością.

Po kilku sekundach na ekranie pojawiła się ostatnia planeta Wegi, wielkością zbliżona do Ziemi, „Zagiel” ostro obniżył lot. Widocznie podróżnicy postanowili za wszelką cenę dokładnie zbadać tę planetę — ostatnią nadzieję odkrycia, jeśli nie pięknego, to chociażby żywego świata.

Erg Noor przytapał się na tym, że kompromisowo użył słowa „chociażby”. Widocznie w podobny sposób myślała załoga „Zagla”.

„Chociażby!” W tym słowie zawarte było pożegnanie marzenia o pięknych światach Wegi, o znalezieniu na dnie przestrzeni wszechświata planet-perel — co było pryczyną ohotniczego zamknięcia się ludzi w gwiazdolocie, opuszczenia pięknej Ziemi na sześćdziesiąt i więcej lat.

Erg Noor pochłonięty obrazem nie myślał na razie o tym. W głębi ekranu wraz z załogą „Zagla” pędził nad powierzchnią dalekiej planety. Na nieszczęście dla tych poległych i tych żywych — okazała się podobna do dobrze znanego sąsiada Ziemi — Marsa. Taka sama przezroczysta gazowa warstwa z czarnawo-zielonym, zawsze bezchmurnym niebem i podobnie płaska powierzchnia pustynnych łądów z łańcuchami rozwalonych gór. Na Marsie jednak panował straszliwy chłód nocy i następowały gwałtowne zmiany temperatury. Były tam na wpół wyparowane gigantyczne kałuże błota, padał drobny deszcz oraz widniały ślady nikłego życia w postaci martwiejących roślin i dziwnych, apatycznych, ślaniających się zwierząt.

Tu zaś zwycięski płomień błękitnego słońca nagrzewał planetę tak

bardzo, że cała promieniowała gorącym ołbrzymim najgorętszymi pustyni ziemskich. Para wodna w niewielkich ilościach unosiła się do górnych warstw atmosfery, a ogromne równiny owiewały prądy ciepłe nieustannie burzące atmosferę. Planeta obracała się równie szybko jak pozostałe. Nocne ochłodzenia rozsypywały górskie minerały w morze piasku. Zatapiała one całą planetę oranżowymi, fioletowymi, zielonymi, błękitnymi i oślepiająco białymi plamami. Wyglądało to z daleka jak morza lub zarośla dziwnych, fantastycznych roślin. Łańcuchy gór, wyższe niż na Marsie, pokryte były błyszczącą, czarną lub brudną korą. Błękitne słońce swoim mocnym ultrafioletowym światłem burzyło minerały i wyparowywało lekkie składniki.

Jasne, płaszczyste równiny promieniowały ogniem. Erg Noor przypomniał sobie, że w starożytności wśród pisarzy i artystów krążyły fantastyczne marzenia o ludziach z innych planet, przystosowanych do życia w wyższej temperaturze. Było to piękne i romantyczne marzenie — utwierdzało wiarę w potęgę ludzkiej natury. Erg przypominał sobie obraz, który wywarł na nim wielkie wrażenie. Przedstawił on spotkanie Ziemiaków z mieszkańcami obcej gorącej planety. Ludzie z Ziemi w ochronnych skafandrach zastylili w pozie wyrażającej zdumienie przed jakąś rozpaloną do białą budowlą obok której stała naga kobieta z rozpuszczonymi czerwonymi włosami. Jej jasna skóra błyszczała jaśniej od rozżarzonych piasków. Lillowe i malinowe cienie podkreślały każdą linię wysokości, zgrabnej figury stojącej jak symbol zwycięstwa życia nad siłami kosmosu.

Śmiało, lecz zupełnie nierealne marzenie przeczące wszelkim zasadom rozwoju biologicznego.

Erg Noor wzdrygnął się, gdy powierzchnia planety gwałtownie pomknęła na nich. Nieznany pilot coraz bardziej obniżał lot „Zagla”. Zupełnie blisko przepłynęły piaszczyste wydmy, czarne skały, rozsypane jakichś błyszczących zielonych kryształów. Gwiazdolot dokładnie otaczał planetę spiralą — od biegu na dobiegu. Nie widać było najmniejszego nawet śladu wody ani najprostszej chociażby rośliny. Znowu „chociażby!”

„Zeglarze” poczuli nagle swe osamotnienie, kruchość staktu zagubionego w niezmiernych przestrzeniach opanowanych przez ognistą błękitną gwiazdę. Erg Noor wyczuł nadzieję filmujących i obserwujących planetę. Każdemu astronautce znane jest doznawane podczas przelatywania nad martwymi planetami bez wody i atmosfery

pragnienie odszukania pozornych ruin resztek miast i budowli w przypadkowych kształtach szczelin, skał i gór.

Szybko mijała na ekranie spalona, omiatała wichrami i pozbawiona wszelkiego cienia powierzchnia dalekiego świata. Erg Noor, ostatecznie przekonany o klęsce swego marzenia, usiłował przypomnieć sobie skąd powstało mylne wyobrażenie o spalonych światach błękitnej gwiazdy.

— Nasz rodacy na Ziemi będą bardzo rozczarowani, gdy się dowiedzą prawdy — odezwał się cicho biolog. — Wiele tysięcy obserwowali ludzi Wega. Podczas letnich nocy Północy, wszyscy młodzi, zakochani i marzyciele, kierowali swój wzrok na niebo. Latem Wega — jasna i błękitna, znajduje się prawie w zenicie — czyż można jej nie podziwiać? Pamiętam, że istnieją jakieś stare wiersze o na wpół boskich ludziach z błękitnej gwiazdy.

— Począłem marzyć o Wedze po komunikacji z „Zagla” — zwrócił się Noor do Eon Tala. — Tysiącletnia tęsknota za nowymi pięknymi światami zwiódła i mnie.

— Jak teraz odczytamy ostatnią wiadomość z „Zagla”?

— Bardzo prosto: „Cztery planety Wegi są zupełnie martwe. Nie ma nic piękniejszego od naszej Ziemi. Jakim szczęściem będzie powrót!”

— Macie rację! — wykrzyknął biolog. — Czemu przedtem nikt tego tak nie odczytał?

— Może kto i odczytał, ale nie astronauta ani nawet Rada. Ten błąd czyni nam zaszczyt. W życiu bowiem zwycięża śmiałe marzenie, a nie sceptyczne rozczarowanie.

Z ekranu znikł obraz, pojawiły się notatki dokonane przez robota wysadzonego dla zbadania warunków istniejących na powierzchni planety. Pobrano próbki geologiczne i „Zagiel” skierował się z powrotem w trzydziestoletnią drogę, której nie zdołał zakończyć. Dalszy ciąg zapisków — sześć pełnych szpul — wymagał specjalnych studiów astronomów, aby wiadomości można było przekazać całemu Pierścieniowi.

Nikt nie miał już chęci oglądania dalszych filmów o ciężkich zmaganiach z awarią i gwiazdą T. a szczególnie zaś ostatniej tragicznej walki. Zbyt silne było bowiem wra-

nie spowodowane pierwszym przeżyciem. Postanowiono następną projekcję odłożyć do spotkania się całej załogi. Zmęczeni dyżurni rozeszli się na odpoczynek, kierownik został sam.

d. c. n.



**Nasza szkołka**

(Dokończenie ze str. 2)

cztery lata temu szpilek lub ich „modowego” odpowiednika nie miała, mało tego, mieć „nie musiała”.

Jednym słowem potrzeby wstają szybciej niż place. Powoduje to zmniejszenie odczucia wzrostu plac realnych i w ogóle stopy życiowej. Ale też jest to prawdziwe. Bo gdyby place wra stały szybciej niż potrzeby — ich wzrost zatraciłby sens. Nie byłoby bodźców dla pogoni za większym zarobkiem, która jest jednym z istotnych motorów rozwoju gospodarczego.

I możliwości rynkowe zaspokojania bardzo wysublimowanych i zróżnicowanych potrzeb wstają szybciej niż siła nabywcza rodziny. Jest to pozytywna prawidłowość tego samego rzędu.

Wniosek ogólny, który Belfer ma zaszczyt zaaplikować już na dziś definitywnie:

Nie jest tak źle, jak czujemy, jest lepiej niż było. Ale zawsze, w przyszłości też czuć będziemy, że jest gorzej niż jest. To, że jest lepiej, powoduje nawet takie nastęstwo, że czujemy, iż jest gorzej. Ale grunt żebyśmy się dobrze czuli, ergo zdrowi byli.

Jak powiadał pewien rabin: można nie jeść, można zupełnie nie jeść, można nawet całkiem umierać z głodu, ale za to co za apetyt! Smacznego!

BELFER

## Podróż na zachód

Długa ulica nadbrzeżna snuje się wąskim bulwarem wzdłuż prawego brzegu rzeki Nysy Łużyckiej. Po prawej stronie polski WOP-ista, po lewej strażnik NRD. Srodek rzeki — granica. Most, który łączy te dwa brzegi też podzielony jest na połowę.

W Gubinie byłem przed kilku laty. Widziałem wtedy tutaj stopy złomu, zbudowane z falistej blachy baraki i szczerbate resztki domów. Zielsko zarastało plaćce, a ludzie rozbierali kilka starych domów, aby zbudować z nich jeden nowy.

Po obu stronach rzeki za-

tarły się już ślady obrazów sprzed lat. Po polskiej i niemieckiej stronie miasta wyrosły nowe domy.

Ranek, gdy słońce przechodzi z polskiej na niemiecką stronę, ożywiają oba brzegi. Odległość jest mała, bo Nysa to rzeka wąska, więc na upartego można się nawet kłaniać komuś z tamtej strony. Można mieć z tamtej strony swoją sympatię.

Wracam do polskiego Gubina. Przyjechałem tutaj razem z chórem Związku Nauczycielstwa Polskiego z Łodzi. Chór śpiewa teraz w świetlicy zakładów włókienniczych i śpiewem tym

uświetnia spotkanie przedstawicieli dwóch województw — łódzkiego i zielonogórskiego. Niedawno obydwaj województwa zawarły traktat o wzajemnej współpracy gospodarczej i wymianie kulturalnej. Wizyta chóru, to cząstka tej wymiany. Natomiast Gubin, to graniczne miasto województwa zielonogórskiego, podpisał znow z kolei umowę o współpracy z Sieradzem. Nazywa się to małżeństwem dwóch miast, dwóch powiatów. Na wyniki tych umów trzeba jeszcze poczekać ale już widać załazek przyszłych owoców. Jestem świadkiem rozmowy przedstawicieli powiatu sieradzkiego z przedstawicielami władz Gubina. Sieradzanie bawią tutaj od dwóch dni, omówili już wiele spraw, zaplanowali szereg akcji gospodarczych, które obu stronom przyniosą korzyści. Sieradz chce rozwijać przemysł, Gubin chce się budować, potrzebuje fachowców, ręk do pracy, wymiany towarowej i takich jak to wizyt kulturalnych.

Gdzieś w sąsiedniej uliczce w równie małej salce w otoczeniu licznych grona audytorium siedzi Marian Brandys, który zbiera prawdopodobnie materiał do reportażu literackiego, a w każdym razie jest dla tego miasta zjawiskiem z odległego centrum kraju, do którego Gubin chce się zbliżyć. Jak najbardziej, bo przecież ciągle to jest ten zachód, o którym nie wszyscy wiedzą wiele dobrego, ale wszyscy mówią. A Gubin chce żyć takim samym rytmem, jak miasta w centrum i dlatego na współpracę z Sieradzem i województwem łódzkim patrzy serdecznie i bez cienia nieufności. Nikt tutaj nie mówi, że to jeszcze jedna akcja na pokaz, bowiem widzi, że chęci są szczerze, a następnie efekty z perspektywą. I dlatego z perspektywy Łodzi występ chóru nauczycielskiego może wydawać się rzeczą małą, faktem drobnym, ale tutaj urasta naprawdę do wydarzenia



...chór śpiewa...

Fot. L. Jankowski

poważnego. Może właśnie dlatego i ten mój reportaż musi być pisany przez pryzmat chóru, z którym bądź co bądź jeździłem przez kilka dni po całej niemal Ziemi Lubuskiej.

Na przykład ciekawym zjawiskiem był wieczór w Zaganiu w małej salce kina. Słabiutko oświetlona scena, trochę nadwątłony fortepian i wiele tremy przed pełną salą. Prawie sami włókiennicze, którzy niedzielnym wieczorem poświęcili na to spotkanie. Pierwsza piosenka — „to idzie młodość... potem następna i już przestała istnieć scena i widownia. Pół godziny bisów, aż w końcu dyrygentowi zabrakło repertuaru. I już celowość imprezy jest bezsporna. Przemówienia krótkie — jak to przyjemnie, że ludzie nauczyli się krótko przemawiać — kosz kwiatów i zaproszenie na przyszłość.

Chór śpiewa na froncie, a ja bobruję na tyłach z notesem w ręku. Ta pani w zielonym płaszczu modnym jakby z łódzkiej „Telimeny“, mieszka w Zaganiu od dwóch lat. „Czy tu można mieszkać? Niemądre pyta-

nie. Pan myśli może że trzeba albo muszę! Nie, w Zgierzu miałam mieszkanie, zostawiłam siostrze, która wyszła za mąż. Dostają teraz pracę lepiej płatną w Szczecinie, mogą więc wracać. Czy wrócę?

Na pewno nie. Tutaj się przyjemnie mieszka. Dziękuję. Proszę nie posądzać mnie o propagandę, bynajmniej nie mam takich celów“. Ten krótki wywiad notuję dla potwierdzenia faktów, że Ziemia Zachodnie coraz bardziej przyciąga ludzi.

Powiem więcej — bliki jest czas, że i tutaj będzie trudno o mieszkania. Nie dlatego, iż wala się stare domy, a właśnie dlatego, że powstają nowe.

A noca, po ostatnim koncercie i uroczystym bankiecie w Studium Nauczycielskim zwiedzam Zieloną Górę. Miasta nocą wyglądają inaczej niż w dzień. Można spokojnie obserwować ciszę ulic, chwycić oddech i gubić się w zaułkach. Uspione bramy fabryk, za którymi słychać rytm pracy trzeciej zmiany, w zielonych alejach pary zakochanych słuchają

śpiewu słowików. Tutaj wiosna przyszła wcześniej niż w naszym mieście, słowiki z temperamentem koncertują nocami. W pobliżu dworca kolejowego cała aleja nowych domów, duże okna, wykończone fasady. Ważne jest to, że na każdym kroku wyczuwa się spokój. „Tutaj można pracować i nie zdziierać nerwów“ — mówi mój kolega po piórze, który od pół roku zostawił Warszawę i stanowisko wziętego reportera w Polskim Radio, a teraz rozkręca nowe pismo społeczno-literackie Ziemi Lubuskiej — „Nadodrze“. Nie wierzyć? Zadzwońcie do Polskiego Radia w Warszawie do „Muzyki i Aktualności“ i zapytajcie gdzie jest redaktor Tadeusz Zimecki! Ach, mówicie, że pewnie nie miał mieszkania. Miał, dostał od Radia ładny pokój z kuchnią na Żoliborzu. Zostawił to wszystko i na razie mieszka w wynajętym pokoju w Zielonej Górze.

Mój pobyt na Ziemi Lubuskiej trwał zaledwie cztery dni — krótko, ale wywołał stamtąd wrażenia, które można nazwać małą szkołą patriotyzmu.



Fot. L. Jankowski

### ARYSTARCH

## Twe zdrowie w niebezpieczeństwie

Dyskusja na temat „Higieny pracowników umysłowych“ w Międzynarodowym Ośrodku Studiów Pedagogicznych w Sèvres wzbudziła — jak podaje w jednym z ostatnich numerów tygodnika francuski „ARTS“ — żywe zainteresowanie w całej Francji. Ponieważ wiele obserwacji, spostrzeżeń, diagnoz i wniosków może przysłużyć się i znaleźć zastosowanie w wielomilionowej armii pracowników umysłowych w Polsce, referuję w dużym skrócie uwagi, wnioski i zalecenia prof. Piotra Delore, jednego z wybitnych działaczy w dziedzinie higieny pracy umysłowej.

Wysoce ujemny wpływ na zdrowie psychiczne i fizyczne pracowników umysłowych wywierają niehigieniczne warunki pracy w wielkich miastach. Zastępowanie wadliwego odżywiania, hałas, telefony, przyspieszony tryb życia — wszystko to prowadzi do przemęczenia, chorobliwego przewrażliwienia i stwarza podłoże dla powstawania chorób w rodzaju wrzodu żołądka, depresji psychicznych i in.

W stosunkach francuskich, a wydaje się, że i w naszych, polskich, najgorsze pod względem higienicznym warunki pracy mają

#### Aktorzy



Ciasne, źle przewietrzane garderoby, konieczność zbiegania i wchodzenia kilka razy w ciągu wieczoru po schodach z garderoby na scenę, zakulisowe chmury kurzu, którego specyficzny zapach dociera ze sceny tylko do widzów zajmujących miejsca w pierwszych dwóch rzędach.

Drugą grupę osób wystawionych szczególnie na niebezpieczeństwa antyhigienicznych warunków pracy stanowią w stosunkach francuskich

#### Adwokaci



inżynierów czy lekarzy i wśród nauczycieli i tłumaczy mniejszą ilość chorób nerwowych w pierwszej grupie tym, że inżynierowie i lekarze mają do rozstrzygnięcia problemy bezpośrednie i — żeby wyrazić się lapidarnie — krótkoterminowe. Tymczasem praca nauczycieli jest długofalowa. Odpowiedzialność objęta krótkim czasem, od wypadku do wypadku, nie jest tak wyczerpująca, jak długoterminowe, ciągle obowiązki wychowawcze, charakterystyczne dla zawodu nauczycielskiego.

Mały kodeks higieny pracy umysłowej zawiera dziewięć zaleceń, które wylizym w kolejności:

#### Nauczyciele



Tutaj przypadłości nerwowe spotyka się najczęściej wśród nauczycieli na szczeblu szkolnictwa średniego. Prof. Paweł Sivadon zestawia pod względem ilościowym wypadki zachorowań z powodu nieprzestrzegania higieny pracy wśród inżynierów czy lekarzy i wśród nauczycieli i tłumaczy mniejszą ilość chorób nerwowych w pierwszej grupie tym, że inżynierowie i lekarze mają do rozstrzygnięcia problemy bezpośrednie i — żeby wyrazić się lapidarnie — krótkoterminowe. Tymczasem praca nauczycieli jest długofalowa. Odpowiedzialność objęta krótkim czasem, od wypadku do wypadku, nie jest tak wyczerpująca, jak długoterminowe, ciągle obowiązki wychowawcze, charakterystyczne dla zawodu nauczycielskiego.

Mały kodeks higieny pracy umysłowej zawiera dziewięć zaleceń, które wylizym w kolejności:

#### czyli

## dziewięć zaleceń dla pracowników umysłowych



1. Gimnastyka poranna i sporty jako środki przeciwko chorobowym objawom zasiedziałości i osłabienia krwionobiegowego. Gimnastykę i sport można z powodzeniem zastąpić spacerami z rana i wieczorem.

2. Prace ręczne, ogrodnictwo, zajęcia na świeżym powietrzu.

3. Balneoterapia czyli leczenie uzdrowiskowe, natrysk gorące kąpiele. Rzymianie dobrze wiedzieli, co robia, budując termy czyli starożytne kąpiele publiczne i zazywając w nich kąpiele. Lekarze francuscy zalecają w tym względzie intelektualistom naśladowanie Rzymian.

4. Odżywianie: najlepsze — sery i ryby! Ba, ale skąd tych ostatnich w Polsce brać? Czy możemy wymagać od naszych biednych resortów i central, żeby w Łodzi były na rynku flądry i węgorze? Centrala Rybna nam wystarczy, prawda?

5. Napoje: filiżanka czarnej kawy w dobrym gatunku i pół litra wina dziennie.

6. Środowisko: dużo powietrza i słońca, zaś na wczasach w górach — unikać wysokości przenoszących 1700—1800 metrów.

7. Sen: pełne osiem godzin; poniżej normy czyli do siedmiu godzin dozwolone tylko tym, którzy śpią dobrze i bez przerwy.

8. Środki pobudzające: a) sztuczne — mało zalecane; b) naturalne — jak najbardziej, są nimi: miłość własna, ambicje, ideały.

9. W końcu, organizacja pracy. Głównym niebezpieczeństwem intelektualisty jest to, że ma wciąż narzędzia swej pracy pod ręką. Organizacja wypoczynku i system pracy zależy indywidualnie od zaznajomienia się ze swym dziedzictwem (dziedzicznością) biologicznym i możliwościami fizycznymi i psychologicznymi.

Michał Anioł Buonarroti (1475—1564) malarz, rzeźbiarz, architekt i poeta, fanatyk pracy, skarżył się na przepracowanie: „Nie mam czasu na jedzenie. Od dwunastu lat rujnuję zdrowie pracowaniem“. Pomimo to dożył późnej starości.

No tak, ale któż z nas jest Michałem Aniołem?

# Dobry żart tyńfa wart

Kto weźmie do ręki tę książkę, nieprędko zechce się z nią rozstać. Mówię tu, a raczej piszę, o bardzo okazałym tomie „Anegdot i sensacji obyczajowych wieku Oświecenia w Polsce” — w wyborze i układzie Romana Kalety \*).

Pracowity sapersz dokonał pracy iście benedyktyńskiej: z pamiętników, z przekazów literackich, z listów i rozmaitych archiwaliów wydobyl na światło dzienne i podał czytelnikowi kilkadziesiąt anegdot, dykterek i facecji z czasów Polski osiemnastowiecznej. Powstały one w tych środowiskach, które rządziły podówczas państwem i narodem — i ten rodzaj zebranych w tomie materiałów znajduje odbicie w jego podziale i klasyfikacji: od „Kręgu Jego Królewskiej Mości” — poprzez „Jasnie Oświeconych i Wielmożnych” — „Najprzewielebniejszych i Wielmożnych” — aż do szeregu szlacheckiego tytułu „Panów braci”.

Oczywiście, anegdoty, o których tu piszę, to nie tylko źródło śmiechu, zabawy, rozrywki. Są one ponadto, a właściwie przede wszystkim znakomitą zwierciadłem obyczajów Polski magnackiej i szlacheckiej, na sychy jej tragicznych dziejów. To zwierciadło jest w niejednym wypadku dla naszej wiedzy niezastąpione. Przystąpił historiografowie, nie wdając się w szczegóły, mierzący raczej ku syntezie, dlatego też nie zwykli zaglądać do wnętrza dworów i pałaców, skąd wychodzili wyksi i mniejsi bohaterowie wydarzeń dziejowych. Natomiast treść anegdoty historycznej obnaża częstokroć owo bardzo interesujące wnętrze, ukazując zgoła nie bohatera, lecz rzeczywistość różnorodną, powszednią różnorodną eksponowanych osobistości i postaci. W ten sposób dobra, wiarogodna anegdota staje się wielce pożądanym uzupełnieniem oficjalnej i obowiązującej nauki o przeszłości.

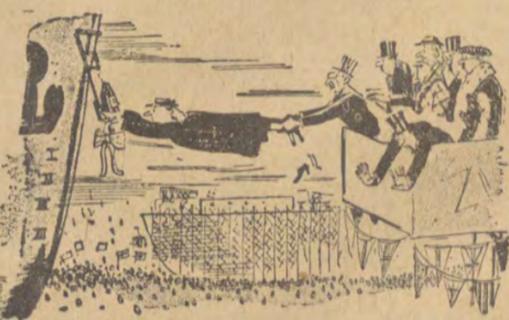
Myliłby się ten, kto by sądził, że zbiór anegdot w opracowaniu Romana Kalety to nie innego, jak „kupa śmiechu”, „strumień wesołości” itp. Niejedną z tych anegdot pobrzmiewa nutą smutku i gorzkości. W niejednej tkwią nieukrywane akcenty społeczne i dramatyczne. Bo nie chodzi już o to, że „jasnie oświeceni”, „wielmożni” i „przewielebni”, jedząc, pijąc i popuszczając pasa, obzartwem i opilstwem „wsławili się” na całym świecie. I mniejsza z tym, że wielkopanśkim fantazjom i zachciankom nie było granic, że jakiś Radziwiłł urządził sobie w lipcu szlichtadę po drodze wysypanej... solą, a np. Michał Granowski prowadził pijane i półnagie korowody swych współbiedniaków po ulicach trybunałskiego grodu Lublina. Siódkroć gorzej i nikczemnie było to, że wielu spośród tych wielmożów dokonywało bezkarnie czynów dość bezczynnych, mordując swych mniemanych lub prawdziwych adwersarzy, zagarniając ich mienie, gwałcąc najbardziej elementarne zasady moralności i dobrych obyczajów. No — a o nieludzkim wyzysku stanów „niższych” o tużeniu się i bogaceniu siódmym potem ich pracy, wspominać tu nie ma potrzeby.

Cóż jeszcze o „Anegdotach i sensacjach obyczajowych”? Aha!... Czwartą część tomu zajmują przypisy i skorowidze, ułożone tak starannie i pracownie, że z tych cennych anekdot można się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy, bądź też przypomnieć sobie niejedno. Nie wolno też pominąć milczeniem, że „Anegdoty” zilustrowała swymi świetnymi, stylowymi rysunkami Maja Berezowska, co wysoko podnosi graficzne walory tej nieprzeciętnej książki.

\* „Anegdoty i sensacje obyczajowe wieku Oświecenia w Polsce”. Zebrał i opracował Roman Kaleta. Ilustrowała Maja Berezowska. — „Czytelnik”, str. 388.



— No?... Podobna ci się tutaj, czy poszukamy może innej szkoły?



Każdy autor żartów rysunkowych (oczywiście — mowa tu jedynie o humorystach, posiadających minimum ambicji) — każdy z takich rysowników posiada jakiegoś swego „konika”, jakiś ulubiony temat. Brytyjski karykaturzysta Graham — zaliczany do grona najściślejszych współpracowników „Funcha” — posiada przynajmniej kilka tego rodzaju pasji. Przeważnie jednak dochodzi w jego dowcipach do głosu temat „situacji bez wyjścia”.

Zaiste, ogromny to wózek, z którego można czerpać pomysły pełnymi garściami. Czyż mogą być wdzięczniejsze okazje dla odnajdywania zabawnych śpiew — niż ludzkie gaffy, przejęzyczenia, cały koszmarny spłót przypadków, wikłający człowieka? Rzecz tylko w tym, że ów „wózek pomysłów” nie jest naszym monopolom. Temat sytuacji bez wyjścia eksplodują setki karykaturzystów na całym świecie. Tym trudniej uniknąć kopiowania cudzych koncepcji, tym trudniej pozostać oryginalnym.

Graham na pewno zdaje sobie sprawę z tych niebezpieczeństw. Lecz samo tylko selekcjonowanie wydumanych, czy podpatrzonych zdarzeń nie wystarczyłoby do „zachowania twarzy”. Angielski humorysta idzie dalej: „naga” sytuację uzupełnia lapidarną charakterystyką psychologiczną, nie skąpi często wyraźnej ironii pod adresem przedstawianych postaci. A są to postaci najczęściej naiwne i zadufane.

Brak miejsca nie pozwala na omówienie innego cyklu żartów Grahama — o Marsjanach i latających talerzach. Przy okazji powróćmy więc do tej innej pasji popularnego humorysty.

J-ert.

# G R A H A M

## Dla maturzystów

I chęć szpera i matura  
Sprawia, że coś w życiu  
wskorasz!

Uwaga, maturzyści! Nie należy podczas egzaminów udawać, że:

Mahomet — to nie żyjący już właściciel największego na świecie haremu...

Beniowski — napisał poemat pod tytułem „Słowacki”, a Dąbrowska powieść pod tytułem „Popioły”...

Iłja Erenburg — to austriacka kochanka Napoleona... Wawel — marka najdroższych polskich papierosów...

Marks — uczony rosyjski, rodem z Woroneża, zaliczony po śmierci w poczet najwybitniejszych marksistów...

Marconi — to włoski kucharz, specjalista od makaronów...



Stephenson — racjonalizator, pracownik kolejowy...

Rosliny — rozmnażają się przez obcowanie picowe...

Cybernetyka — odmiana cynaderek w sosie, z kaszą gryczaną...

Sofieści — to ci, co lubią wypoczywać na sofach...

Wolter — przyrząd do mierzenia napięcia elektrycznego w woltach...

Najwyższy szczyt w Polsce — koniec iglicy na Pałacu Kultury i Nauki...

Mieszalniny — tytuł najlepszego tygodnika literackiego w Polsce...

Wanda Wasilewska — nie chciała Niemca i utopiła się w Wiśle...

Gogol — odmiana rośliny strączkowej...

Przez „ż” piszą się — żepa, bżuch, żemięń, żeczywistość...

Przez „ó” piszą się — ói, kóra, płócha, kióska, Kościószko...

Rock and Roll — największy współczesny uczony amerykański, który w wolnych od zajęć chwilach wymyślił powszechnie znany taniec...

Nawet od kandydatów na wyższe stanowiska coraz częściej wymaga się świadectw szkolnych i dyplomów!!!

## Albumiki i sztambuchy

Ponieważ po dziś dzień żywa jest między uczniami tradycja wpisywania się do albumików i sztambuchów, a nie każdego stać na inwencje, przeto podajemy kilka tekstów, zanotowanych jeszcze przez Klemensa Junoszę - Szaniawskiego (1840-1898), które mogą się naszym młodym czytelnikom przydać. Oto one:

„Choć deszcze padać będą i śniegowe burze, Nie przestając cię nigdy Kochać przez K duże”.

„Choćby mi tygrys Serec wziął i wygrzył, Choćby jaguar Pożar ten memuar, Ja ubiorę twe imię, W pamięci peniuar”.

„Kiedy będziesz salopkę zdejmowała z kółka, Pamiętaj, że ja byłam twoją przyjaciółką”.

Pozłomo — 1) Miasto w Polsce lub warsztat tkacki, 2) Wyższy stopień naukowy, 3) Typ samolotu, 4) Pożucie umiaru, 5) Sieć, 6) Napój, 7) Materiał lub zwierzę, 8) Planeta, 9) Traktat, 10) Ptak domowy, 11) Dźwięk okrętowy, 12) Utwór poetycki, 13) Sierżant glinowo-potasowy, środek ścierający i przeciwgnilny; posiada też własności garbujące, 14) Obniżenie temperatury i usmierza ból, 15) Stolica Albanii, 16) Nakrycie głowy, Pionowo — 1) Ciało niebieskie, 2) Warzywo, 4) Symbol w alfabecie Morse'a, 5) Potok, 6) Ptak, symbol mądrości, 9) Niepowodzenie, fiasko, 10) Skok akrobacyjny, 11) Grzyb, 12) Beczulka, 13) Krasnoludek, 14) Choroba, 15) Lichy utwór literacki, 16) Stolica Turcji, 17) Ambicja, poczucie osobistej godności.

Rozwiązanie krzyżówek  
Pozłomo — Aspazja, dewizka, ciemnia, ananasy, sinolog, Estonia, estrada, trabant, filozof, Sorbona, biegacz, Niagara, filolog, legator, anilina, klawisz, Pionowo — Aparaty, szelest, notatka, landara, gwarant, fiszbin, lorneta, szolała, fraszka, foliarka, Legnica, Litwini, garbarz, Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali: 1. Janina Grabowska, Łódź, ul. Zeromskiego 80 m. 23. 2. Tytus Gasparski, Łódź, ul. 10 Lutego 6/8 m. 24.

## Przegląd prasy

Harcerski tygodnik ilustrowany „Na przelaj” w numerze z 3. V. 59 przynosi dłuższy tekst, napisany na zasadzie „Allawerdy”. Pozwalamy sobie na przytoczenie cenniejszych wyjątków z tego „żartobliwego utworu”:

„...Cegła zdobi troglodytów, Cacy cacy szczyt zachwytyłów...”

Ludożercy lubią gulasz, Lipa do snu lud ululasz...

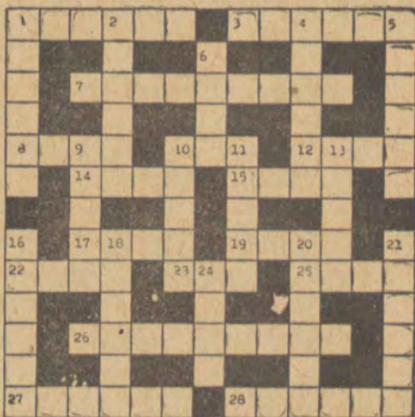
Tramwaj służy do czeplania, Trup nieboszczyk nam się kłania...

Urugwaj słynie z perkusji, Uszy umyć bez dyskusji...

Można by jednak bez trudu znaleźć nieco lepsze tradycje, we właściwszy sposób sprzyjające harcowskiemu humorowi!

Redaguje Zespół O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 O Warunki prenumeraty miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. O Redakcja nie zamawia kopii nie zwraca O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUK „Ruch” — z oznaczeniem na „Odgłosy” druk RSW „Prasa” — Łódź, Żwirki 17. Z. 1453 V. 59. 4-3

## NASZA KRZYŻÓWKA



# Mieszkańcy

Pod redakcją Jana Huszczy

Miekiedy reżyser filmowy występuje w roli aktora... Na zdjęciu (po lewej) Gerard Zajączkowski, a po prawej Edward Etlar. Ten debiut p. Zajączkowskiego był b. udany.



# Klucz do Sezamu

EDWARD ETLAR

"Winda na szafel", czyli paradoksy Oto film wyścigowy niezwykły: by napisać traktat i zarządzić wyścig bez reszty. Pomysłowy jednak, co by się stało, gdyby polski reżyser wytrzymał skądś scenariusz rownie jak "Winda" oryginalny, ukazujący konflikt podobny, lub podobnie intrygujący? Odpowiedzią komisia otrzymała scenariusz do oceny. Przerzyta. Podmiana. Odpowiedź. Bez entuzjazmu, ale za to zwięźle: "po co?"

Po co? — to znaczy, że "naszemu widzowi" w przyszłościowych "naszych warunkach" — zbudowane jest oglądanie dzieł osobistego dramatu kilkoraz ludzi. Zbudowane — choćby dramatów o ułtany był z walków nieprzejętej literatury i choćby trwał wszystkie bez mała walorami nowoczesnego kina. Tak czy owak scenariusz traktuje o p r y w a t n y c h sprawach, o bliskości, jaka jest bezdłowa i mierzczanska tragedia p r y w a t n y c h osób. Sądowe "po co?", po którym na ogół już nie ma dyskusji. Wzrostki zostaje wydany z najbrzdziel — zdawało by się — społecznego punktu widzenia. A jednak następuje rozdziałek między "po co?", czyli treścią orzeczenia — a tzw. społecznym zapotrzebowaniem. Nie dlatego, że widownia (czyli: milionowa społeczność) żyje sobie film takowy obaczyc, a w nie on nie ucierała i nie nakłania do medytacji czy zabiegów utrwalających braterstwo, pokój, postęp. Waż-

niejszy jest klasycznie społeczny skutek poehopnie ferowanego wyroku. Reżyser, którego raz, lub więcej razy zaprzęta "po co?", przynosił wreszcie scenariusz ani o sprawach prywatno-mieszkańskich, ani o społecznych. Będzie to scenariusz obywateli. Oczywiście nie wyczerpany, ale za to — najpewniej — komedia. Bo z nią jest najmniejsi kłopot.

Tymczasem członkowie przewrębnej komisji, gdyby tak posadzić ich z osobna i pokazać gotowy jakims cudem film — jako osoby prywatne — być powinno — urosnąć nawet rzekę. A mając niejakie wyobrażenie o warstwie filmowym orzekną, przysługując, w tajemnej skrytości ducha, iż rzecz jest nieprzejętej klasy. Ale wloty mironki między halki i przyjmijmy na odmiannę, że się rzeczona komisja wyobrażają odnacza. Duch boży się tedy w nich objawia, czytaj słowo pisane a widza film. No i co? Sezam otworem stoi?

Nie zapominajmy. Komisja, zebrana w zacne, maiercko — a strójne logami grono, czuje powagę chwili. Budzi się tedy poczucie odpowiedzialności a wreszcie — chęć zapamiętania "po co?". Proponuje komisjom pomysłowe chwile, bo sprawa "pocodzinu" zdaje się być symptomatyczna...

Nie będzie tań, że zwięźle "po co?" dla racji bycia naszej kinematografii zdaje się być sformułowaniem nieobojętnym.

## FILMY NIEDOZWOLONE



Milo nam domnieć, że po tygodniku "FILM" włączyli się do naszej dyskusji, poświęconej problemowi "filmów niedozwolonych" — tygodnik "DOOKOŁA SWIATA". W felietonie "Redaktor" znalazłszy trzecią ocenę bezwzględności i grupę. Wzbrania się młodzieży bajdania filmów z wątkiem erotycznym, a następnie się w zamian filmy ukazujące morderstwa, gwałty i inne rzeczy o znikomych walorach wychowawczych!

Dla pewnego uzasadnienia (dyskusja zrobiła się zwięźle poważna) oddajemy głos satyrykowi. Oto co napisał nam p. Zygmunt Fijas:

ZYGMUNT FIJAS

### Wzbronione zabawy

Nie lubię zabierać głosu w publicznych dyskusjach, bo niekiedy jakam się gorzej od Karola Irzykowskiego, ale przeczytawszy w "Ogłoszeniach" kilka wypowiedzi w sprawie ograniczenia dzieciom wstępu na niektóre przedstawienia filmowe, nie mogę się powstrzymać od pojąkania. Ubiegłej niedzieli obejrzałem film "Anatol i jego przyjaciele" i mocno się zdziwiłem czytając, że ten film jest dla młodzieży ze szkół podstawowych zabroniony. Dlaczego?

Jeżeli chronimy młodzież przed erotycznym wyuzdaniem, to dlaczego każdy młodzieńiec ze szkoły podstawowej czy dziewczyna mogą zapoznać się z treścią porządniejszą w najbarwniej wyobraźni miejscach prezerwatyw "Ultra" i innych, antykoncepcyjnych akcesoriach przeciwciepłowych? Dlaczego nie zabrania się dzieciom kupować w kioskach "Ruch" — "Kalendarzyków piodności"? Dlaczego dzieciom szkolnym wolno kupić "Album" Marii Berezowskiej w którym mogą zobaczyć jedną z sześćdziesięciu sześciu figur erotycznych z "Kamasutry" i satyrów gwiazdzących w biały dzień nimfy, nie oglądające się na kalendarzyki piodności? Dlaczego młodzież szkolna może oglądać w muzeum Wdkiem Helene Fourment, osłaniającą swą obłądą bągost tylko futrem, zarzuconym na zawieszonym piecy? Dlaczego wolno im patrzeć na kobiety Bouchera? Jeśli jesteśmy konserwatywni, to cenzurujemy księgarnie, wysławę, jeśli film "Anatol" szkła miliona, nie działa budujące, to do jakich przewrotnych pomysłów powadzą okrutne bągosty Grima? Co wyrosnie z dziecka czytającego w prasie sprawozdania ze zbrodziejstw, morderstw i rabunków? Nie jestem szekspirowym świętoszkiem Malvoigiem, ani też nie jestem aż tak wyzwolonym z przesądów człowiekiem, abym dzieciom pozwalał oglądać w muzeach reprodukcje renesansowego Giuliana Romano czy malowidła wspomnianego Bouchera, zdobyłce prawowitej erotycznej margaryty Pompadour, ale zdaje mi się, że któryś z panów oceniających filmy, albo nie ogląda filmów, albo ocenia je w celach merkantylnych, jak nie wolno nam iść, Zoska, to na pewno film jest dobry, albo też panek, która przegina, pochodzi z tak zwanego młotowego okresu, "powszechnienia kultury", "delfwego", jak powiadają inni. Amen.

WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI

# JAMES DEAN - AKTOR WSPÓŁCZESNEJ LEGENDY

Od naszego korespondenta z Francji

James Dean jest już bóg i ta, że trzeba uważać na niego, zmnulifikowana zakreślach szosy. Poza tym już bohaterem dramatu przetrwał. Na znakomitej amerykańskiej autostradzie, nak chęba wygodniejszą torzafacyonowany szalenczą, wartością sztybkością swego auta, zęgnął smutny, poczo-chrany chłopak, by na dość długi okres czasu stać się boryszczem młodzieży obu kontynentów. To on — jak chętego niekiedy — potrafił pokazać tej młodzieży jej wściekłość, gniew, samotność. To on, na przekór modzie nosi skózaną bluzę, niedobną czuprynę i był niepoprawny w uroczy sposób urzędzonego indywiduisty. Jaką jednak dzisiaj pynie nanka z jego krótkiego życia? Chęba tylko ta, że nie należy zbyt mocno naciskać na "kaz" samochodowy, a tak-

Reżyserzy dokonali zmian, że i ta, że trzeba uważać na niego, zmnulifikowana zakreślach szosy. Poza tym już bohaterem dramatu przetrwał. Na znakomitej amerykańskiej autostradzie, nak chęba wygodniejszą torzafacyonowany szalenczą, wartością sztybkością swego auta, zęgnął smutny, poczo-chrany chłopak, by na dość długi okres czasu stać się boryszczem młodzieży obu kontynentów. To on — jak chętego niekiedy — potrafił pokazać tej młodzieży jej wściekłość, gniew, samotność. To on, na przekór modzie nosi skózaną bluzę, niedobną czuprynę i był niepoprawny w uroczy sposób urzędzonego indywiduisty. Jaką jednak dzisiaj pynie nanka z jego krótkiego życia? Chęba tylko ta, że nie należy zbyt mocno naciskać na "kaz" samochodowy, a tak-

Reżyserzy dokonali zmian, że i ta, że trzeba uważać na niego, zmnulifikowana zakreślach szosy. Poza tym już bohaterem dramatu przetrwał. Na znakomitej amerykańskiej autostradzie, nak chęba wygodniejszą torzafacyonowany szalenczą, wartością sztybkością swego auta, zęgnął smutny, poczo-chrany chłopak, by na dość długi okres czasu stać się boryszczem młodzieży obu kontynentów. To on — jak chętego niekiedy — potrafił pokazać tej młodzieży jej wściekłość, gniew, samotność. To on, na przekór modzie nosi skózaną bluzę, niedobną czuprynę i był niepoprawny w uroczy sposób urzędzonego indywiduisty. Jaką jednak dzisiaj pynie nanka z jego krótkiego życia? Chęba tylko ta, że nie należy zbyt mocno naciskać na "kaz" samochodowy, a tak-

Reżyserzy dokonali zmian, że i ta, że trzeba uważać na niego, zmnulifikowana zakreślach szosy. Poza tym już bohaterem dramatu przetrwał. Na znakomitej amerykańskiej autostradzie, nak chęba wygodniejszą torzafacyonowany szalenczą, wartością sztybkością swego auta, zęgnął smutny, poczo-chrany chłopak, by na dość długi okres czasu stać się boryszczem młodzieży obu kontynentów. To on — jak chętego niekiedy — potrafił pokazać tej młodzieży jej wściekłość, gniew, samotność. To on, na przekór modzie nosi skózaną bluzę, niedobną czuprynę i był niepoprawny w uroczy sposób urzędzonego indywiduisty. Jaką jednak dzisiaj pynie nanka z jego krótkiego życia? Chęba tylko ta, że nie należy zbyt mocno naciskać na "kaz" samochodowy, a tak-

